

Polonika

25 Jahre Polonika



Österreich € 3,00

Nr. 3 (278)

Mai / Juni 2020

Erscheint seit 1995

Nr 3 (278)

maj / czerwiec 2020

Ukazuje się od 1995

ISSN 1814-0750

PISMO POLONII AUSTRIACKIEJ

MAGAZIN DER POLEN IN ÖSTERREICH

Z ZARAŻĄ przez wieki



Polscy medycy w austriackich szpitalach

Święta Korona - patronka od epidemii

Szlak pamięci Mauthausen-Gusen

Moja przyjaciółka księżna



GINEKOLOG

Dr Wiesław Miechowiecki

ZAWIADOMIENIE

Z dniem 30 czerwca 2020 roku Ordynacja ginekologiczno-położnicza doktora Wiesława Miechowieckiego w 17. dzielnicy Wiednia, Jörgerstrasse 50, kończy swoją wieloletnią działalność.

Szanowne Panie, Drogie moje Pacjentki!

Przez ponad 30 lat prowadzenia mojej ordynacji ginekologiczno-położniczej starałem się służyć Paniom radą i fachową opieką medyczną. W tym czasie z mojej pomocy skorzystało również wiele Polek zamieszkałych w Wiedniu, a także tych, które przebywały w tym mieście tylko czasowo.

Dowody uznania i zadowolenia ze strony Pań były dla mnie potwierdzeniem trafnego wyboru zawodu i źródłem ogromnej satysfakcji. Jednakże w każdym zawodzie przychodzi czas na pokoleniową zmianę. W moim przypadku nadszedł on właśnie teraz.

Przechodząc na emeryturę żałuję, że nie jestem w stanie zapewnić Paniom pożądanej ciągłości pracy polskiego lekarza w moim gabinecie.

Zegnając się, ze wszystkimi moimi pacjentkami, życzę Paniom przede wszystkim dużo zdrowia i pomyślności. Mam również nadzieję, że wkrótce znajdą Panie nowego lekarza ginekologa, który równie chętnie będzie im służył radą i pomocą.

Z serdecznymi pozdrowieniami
Dr Wiesław Miechowiecki



Mag. Alfons Umschaden MBA, M.B.L.
Rechtsanwalt

Dr. Agata M. Wolinska-Umschaden
niedergelassene europäische Rechtsanwältin
kanzlei@awolinska.com

Domgasse 4/9, 1010 Wien

Tel: 01 389 0800,
Fax +01 389 0800 8

www.awolinska.com



Kancelaria Dr Agaty M. Wolińskiej-Umschaden jest międzynarodową kancelarią prawną z siedzibą w Gdańsku i w Wiedniu. Kancelaria oferuje szeroki zakres usług prawnych w zakresie rozstrzygania sporów, także na drodze arbitrażu,

prowadzi sprawy karne oraz postępowania administracyjne. Ponadto Kancelaria specjalizuje się w dziedzinie prawa medycznego, farmaceutycznego, kosmetycznego i żywnościowego. Świadczone przez Kancelarię usługi prawne opierają się zarówno o polski jak i austriacki system prawny.

Oferujemy m.in.:

- doradztwo merytoryczne i reprezentację w procesach zarówno przed organami państwowymi jak i sądami w zakresie sporów wynikłych ze świadczeń socjalnych, sporów pracowniczych oraz wynikłych z umów o pracę
- kompleksową opiekę prawną w procesach rozwodowych, o opiekę nad dziećmi, o podział majątku, w sporach alimentacyjnych (także transgranicznych) i adopcyjnych
- dochodzenie roszczeń powypadkowych i odszkodowawczych

- sporządzanie umów opartych na prawie polskim i prawie austriackim
- pomoc prawną w zakresie prawa karnego i karnego gospodarczego
- pomoc w zakładaniu przedsiębiorstw i spółek handlowych
- specjalistyczne doradztwo w zakresie prawa medycznego, farmaceutycznego, produktów medycznych, suplementów diety, a także prawa żywnościowego i kosmetycznego
- dochodzenie roszczeń z tytułu szkód medycznych
- wsparcie merytoryczne oraz reprezentację w procesach roszczeniowych przeciwko ubezpieczycielowi

Ponadto zapewniamy doradztwo prawne oraz reprezentację w procesach w zakresie:

- sporów budowlanych
- prawa najmu
- prawa transportowego
- prawa franczyzowego
- prawa pobytowego



mgr Renata KIERES
dyplom. tłumaczka j. polskiego i rosyjskiego

POLSKI • NIEMIECKI • ANGIELSKI • ROSYJSKI
oraz wszystkie inne języki świata

BIURO TŁUMACZEŃ

(w pobliżu Ambasady Polskiej w Wiedniu)

Dipl.-Ing. Dr. W. STROHMER KEG

A-1130 Wien, Hietzinger Hauptstraße 67/2

tel. 877 52 69, faks 877 58 29

tel. kom. 0664 / 44 28 035

E-mail: office@strohmer-translations.at

www.strohmer-translations.at



Stanisław KIERES
tłumacz przysięgły j. polskiego i niemieckiego

oferuje następujące usługi:

- Uwierzytelnione tłumaczenia dokumentów (dokumenty osobiste, decyzje sądowe, świadectwa, akty, indeksy, umowy itp.)
- Tłumaczenia ustne i pisemne w urzędach, sądach i na policji (rozprawy sądowe, składanie wniosków, odwoływanie się od negatywnych decyzji, konferencje, pertraktacje, rozmowy handlowe)
- Tłumaczenia przy załatwianiu wszelkich spraw urzędowych (współpraca z adwokatem, notariuszem, doradcą podatkowym: śluby, rozwody, sprawy cywilne i karne, deportacje z Austrii, spory z pracodawcą, rejestracja i ubezpieczanie samochodów, nabywanie mieszkania, zaliczanie lat pracy z Polski, uzyskiwanie lub wymiana prawa jazdy itp.)
- Rejestracja i prowadzenie firm na terenie Austrii (udostępnianie adresu na siedzibę firmy na okres rejestracji, przejmowanie przedstawicielstw zagranicznych firm, współpraca z notariuszem i doradcą podatkowym przy zakładaniu firmy i uzyskiwaniu wymaganych koncesji, roczne rozliczenia pracobiorców z urzędami podatkowymi itd.)

PRZYSTĘPNE CENY!

np.: uwierzytelnione tłumaczenie aktu urodzenia EUR 25,-

Osobom zamiejscowym polecamy możliwość przesłania dokumentów drogą pocztową.

Wszystkie zlecenia wykonujemy szybko i solidnie.

(normalny termin: 1 dzień)

Godz. urzęd.: 9 - 18

UWAGA:

Poza godzinami otwarcia biura dyżur telefoniczny pod numerem (0043 1) 877 52 69 lub 0664 / 44 28 035

rok
założenia firmy
1986



Liebe Leserinnen und Leser,

niektórzy z Was wrócili być może w czasach kwarantanny do powieści Alberta Camusa „Dżuma” zwrócić uwagę na „Die Pest” zwrócić uwagę.

Darin heißt es unter anderem: „Es hat auf der Welt genauso viele Pestepidemien gegeben wie Kriege. Und doch treffen Pest und Krieg die Menschen immer unvorbereitet“. Jeder von uns war überrascht von der Notwendigkeit der Veränderungen, die unerwartet kamen. Deshalb möchten wir Ihnen einen kurzen Überblick über die Geschichte der Infektionskrankheiten gewähren. Wir werden Ihnen zeigen, an welchen Orten in Wien die Spuren dieser Epidemien zu finden sind.

Auf der Titelseite dieser Ausgabe ist die berühmte Pestsäule am Graben dargestellt, und daneben ein kleines Mädchen, das auf einer grünen Wiese Blumen pflückt. Denn sowohl die geschilderte Geschichte der Seuchen als auch dieses Coverbild sollen uns das geben, was wir jetzt brauchen: Hoffnung. Denn auch die größten Epidemien sind vergangen.

Von der schwierigen Arbeit in den österreichischen Krankenhäusern während der Coronakrise erzählen uns eine Krankenschwester, eine Hebamme und ein Arzt.

Magdalena Marszałkowska, die Gründerin des XYZ-Theaters, Autorin von Theaterstücken und Regisseurin, sagt uns, ob die Quarantänezeit inspirierend sein kann.

Wir erzählen Ihnen auch die Geschichte der Schutzpatronin gegen Seuchen, der Heiligen Corona! Sie wurde im mittelalterlichen Europa verehrt und ihr Kult existiert in Österreich bis heute.

Ich empfehle Ihnen hiermit auch unsere anderen Artikel, und wünsche allen Leserinnen und Lesern viel Kraft, Gesundheit und Hoffnung!

Droge Czytelniczki, drodzy Czytelnicy,

niektórzy z Was wrócili być może w czasach kwarantanny do powieści Alberta Camusa „Dżuma”. Czytamy tam m.in. „Na świecie było tyle dżum co wojen. Mimo to dżumy i wojny zastają ludzi zawsze tak samo zaskoczonych”. Każdy z nas został zaskoczony koniecznością zmian, które nadeszły niespodziewanie. Dlatego postanowiliśmy pokazać Wam w skrócie historię największych zaraz, z którymi ludzie musieli się zmierzyć. Pokażemy, gdzie w Wiedniu znaleźć można ślady tamtych epidemii. Na okładce tego numeru przedstawiliśmy słynną morową kolumnę na Graben, a obok małą dziewczynkę, zbierającą kwiatki na zielonej łące. Bo zarówno opisana historia epidemii w dziejach ludzkości, jak i ta okładka ma dać to, co jest nam potrzebne: czyli nadzieję. Bo największe nawet zarazy przemijały.

O trudnej pracy w okresie pandemii opowiedzieli nam polscy medycy pracujący w austriackich szpitalach: pielęgniarka, położna i lekarz. O tym, czy czas kwarantanny może być inspirujący mówi założycielka teatru XYZ, autorka sztuk i reżyserka, Magdalena Marszałkowska.

Opowiadamy też Wam historię patronki od epidemii, czyli świętej Korony! Była czczona w całej średniowiecznej Europie, do dziś pamięta się o niej także w Austrii.

Polecając pozostałe teksty, życzę wszystkim Czytelniczkom i Czytelnikom wiele sił, dużo zdrowia i nadziei!

Slawomir Iwanowski

Polonika

Redakcja – Impressum

Redaktion Polonika:

Vienna Office Center, Graben 12, 1010 Wien,
Tel./Fax: 0043 1 292 34 81,
Mobil: +43 664 100 82 98,
e-mail: redaktion@polonika.at,
redakcja@polonika.at, www.polonika.at

Chefredakteur:

Slawomir Iwanowski

Redaktionsteam:

B. Bartusiak, A. Burzyński, A. Haar, M. Hruz,
H. Iwanowska, N. Jadach, R. Kowalewski,
J. Kwiecień-Pogon, D. Krzywicka-Kaindel,
M. Marszałkowska, M. Michalski,
B. Niedźwiedzki, E. Prose, M. Sekulski,
K. Sima, E. Steinhart.

Reklama: Tel. +43/664 100 82 98

Layout: Mirosław Jurczak

Vertrieb: Österreich (Presse Großvertrieb
Austria Trunk GmbH)

Medieninhaber, Verleger und Herausgeber:
Österreichisch-Polnischer Verein für
Kulturfreunde „Galizien“

Polonika erscheint 6 mal im Jahr.

Offenlegung gemäß 25§Mediengesetz.

Grundlegende

Richtung: Magazin in polnischer und
deutscher Sprache: Regeln und Vorschriften,
Information aus Wirtschaft, Kultur, Kunst und
Sport, Integration.

Die Publikation von Texten und Inseraten
erfolgt durch die Redaktion unter dem Vorbe-
halt, der jederzeitigen Veröffentlichungsabgabe
von Inhalten die der grundlegenden Richtung
als auch den marktwirtschaftlichen Inter-
essen des Mediums widersprechen.

Namentlich gekennzeichnete Artikel müssen
nicht unbedingt mit der Meinung der Redak-
tion übereinstimmen. Keine Haftung für den
Inhalt der Anzeigen.

Prenumerata Poloniki:

tel. 00436641008298,

e-mail: redaktion@polonika.at

Cena rocznej prenumeraty Poloniki w wersji
cyfrowej wynosi 15 euro. Cena rocznej
prenumeraty Poloniki w wersji papierowej
wynosi 39 euro (włącznie z kosztami przesył-
ki pocztowej).

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówio-
nych i zastrzega sobie prawo redagowania
oraz skracania tekstów. Za treść reklam,
ogłoszeń i tekstów sponsorowanych nie
odpowiadamy.

Projekt finansowany ze środków Kancelarii
Prezesa Rady Ministrów w ramach zadania pub-
licznego dotyczącego pomocy Polonii i Polakom
za granicą.

Publikacja wyraża jedynie poglądy autora/ów
i nie może być utożsamiana z oficjalnym stanowi-
skiem Kancelarii Prezesa Rady Ministrów.



KANCELARIA PREZESA
RADY MINISTRÓW



str. 9



str. 14



str. 15



str. 20

Temat numeru

Z zarazą przez wieki

W dziejach ludzkości epidemie wybuchały wielokrotnie

str. 9

Przewodnik Poloniki

Święta Korona – patronka od epidemii

Jej kult znany jest także w Austrii

str. 14

Rozmowa „Poloniki”

Magdy okno na świat

Magdalena Marszałkowska: założycielka teatru XYZ

str. 15

Społeczeństwo

Moja przyjaciółka księżna

Historia niecodziennej znajomości

str. 18

Polscy medycy w austriackich szpitalach

Opowiadają o swojej pracy

str. 20

Polskie pamiątki w Austrii, cz. XI

W dwóch kościołach: Minorytów oraz św. Anny

Odnajdujemy kolejne miejsca związane z Polską

str. 24

Historia

Szlak pamięci Mauthausen-Gusen

W 75. rocznicę wyzwolenia KL Mauthausen-Gusen

str. 26

Polskie rody w Austrii

Rodzina Ledóchowskich

Spotkanie z przedstawicielami trzech pokoleń

str. 30

Kultura

Pokrewieństwo dusz

Hundertwasser i Schiele w Muzeum Leopoldów

str. 34

Polacy, którzy zmienili świat, cz. X

Florian Znaniecki, wybitny socjolog

str. 37

Vademecum Polaka w Austrii

Zasiłek dla bezrobotnych

Kiedy, ile, na jak długo?

str. 39

Prawo

Pomogliśmy czytelnikom

Telefoniczne porady prawne

str. 40

Felieton

Moja piękna wiedeńska pralnia

Kilka wrażeń z obserwacji mieszkańców

str. 42

Okładka: Collage: Pestsäule –Thomas Ledl/Wikimedia Commons, Pixabay.com

Leitthema

Die Geschichte der großen Epidemien s. 9

In der Geschichte der Menschheit sind wiederholt Epidemien ausgebrochen

Reiseführer der Polonika

Die Heilige Corona, Patronin gegen Seuchen s. 14

Sie wird auch in Österreich verehrt

„Polonika“ Gespräch

Magda's Fenster zur Welt s. 15

Magdalena Marszałkowska: Gründerin des XYZ-Theaters

Gesellschaft

Meine Freundin, die Herzogin s. 18

Die Geschichte einer ungewöhnlichen Bekanntschaft

Polnische Mediziner
in österreichischen Krankenhäusern s. 20

Sie sprechen über ihre Arbeit

Polnische Spuren in Österreich (Teil 11)

Die Minoritenkirche und die Annakirche s. 24

Wir entdecken weitere Orte mit einem Bezug zu Polen

Geschichte

Mauthausen-Gusen – Auf dem Pfad der Erinnerung s. 26

Zum 75. Jahrestag der Befreiung des KZ Mauthausen-Gusen

Seit Generationen in Österreich

Die Familie Ledóchowski s. 30

Eine Begegnung mit VertreterInnen dreier Generationen

Kultur

Die Verwandtschaft zweier Seelen s. 34

Hundertwasser und Schiele im Leopold Museum

Polen, die die Welt veränderten (Teil 10) s. 37

Florian Znaniecki, ein herausragender Soziologe

Vademecum der Polen in Österreich

Arbeitslosengeld s. 39

Wann, wie viel, für wie lange?

Recht

Wir halfen unseren Lesern s. 40

Telefonische Rechtsberatung

Feuilleton

Meine schöne Wiener Wäscherei s. 42

Einige Eindrücke aus der Beobachtung der Bewohner

Cover: Collage: Pestsäule – Thomas Ledl/Wikimedia Commons, Pixabay.com



Wien hält zusammen

„Wiedeň trzyma się razem” – to hasło wspólnej akcji Miasta Wiednia, Wiedeńskiej Izby Gospodarczej i austriackiej telewizji ORF.

Na portalu: www.wien.gv.at/zusammen znaleźć można: adresy lokalnych firm, które potrzebują teraz wsparcia; infor-

macje związane z kulturą i sztuką; przegląd imprez odbywających się online; praktyczne rady dotyczące codziennego życia; informacje o bezpłatnej pomocy psychologicznej czy psychoterapeutycznej; informacje o wszelkich akcjach pomocowych dla mieszkańców Wiednia.



Powrót do szkół

Minister edukacji, Heinz Faßmann, przedstawił plan stopniowego otwierania szkół. Zajęcia dla maturzystów i uczniów klas maturalnych szkół zawodowych i gimnazjów zawodowych rozpoczną się 4 maja. Dotyczy to 100 tysięcy uczennic i uczniów w całej Austrii. Uczniowie w wieku od 6 do 14 lat – uczniowie szkół podstawowych, gimnazjów, nowych gimnazjów i szkół specjalnych pojawią się w szkołach 18 maja – to 700 tysięcy dzieci i młodzieży. Dla wszystkich pozostałych ucz-

niów lekcje rozpoczynają się 3 czerwca – dotyczy to 300 tysięcy osób. Podstawą klasyfikacji jest przede wszystkim świadectwo semestralne, ale uwzględnione zostaną również wyniki osiągnięte przez uczniów przed zamknięciem szkół i rezultaty uzyskane w kształceniu na odległość. Nie będzie już w tym semestrze klasówek i sprawdzianów. Jeśli uczniowie chcą się poprawić, możliwe są egzaminy ustne.

Wszystkie informacje znajdują się na stronie: www.polonika.at



Zielony Wiedeń



Wiedeň zajmuje 1 miejsce w rankingu „najbardziej zielonych” metropolii, jest także najbardziej zielonym miastem na świecie. Podczas Światowego Dnia Ziemi, 22 kwietnia 2020 r., „Resonance Consultancy”, grupa doradcza ds. nieruchomości, turystyki i rozwoju gospodarczego z siedzibą w Vancouver i Nowym Jorku, opublikowała listę najbardziej zielonych miast na świecie. Zielony Wiedeň oznacza: 30%

energii w mieście pochodzi ze źródeł odnawialnych, 75% dróg pokonywanych jest tu środkami transportu publicznego, pieszo lub na rowerze, 50% powierzchni miasta zajmują tereny zielone. W Wiedniu jest 280 parków i ogrodów. Za Wiedniem na podium znalazły się jeszcze: Monachium i Berlin, kolejne miejsca zajęły: Madryt, Sao Paulo, Manchester, Lizbona, Singapur, Amsterdam i Waszyngton.

Wiedeńskie zoo
Schönbrunn zaprasza

Ogród zoologiczny Schönbrunn przyciąga co roku ponad dwa miliony turystów. Po przerwie związanej z pandemią koronawirusa, od 15 maja 2020 najstarsze zoo na świecie znowu otwiera swoje podwoje. Zoo Schönbrunn w parku pałacu Schönbrunn w 13. dzielnicy Hietzing zostało założone przez Habsburgów w 1752 roku. Zalicza się dzisiaj do najnowocześniejszych i najlepszych zoo na świecie. Żyje tu ponad

700 gatunków zwierząt. Wielką atrakcją dla wszystkich jest niedźwiadek polarny, dziewczynka Finja, która przyszła na świat 9 listopada 2019 r. Zoo w Schönbrunn jest otwarte codziennie od 9:00 do 18:30. Drogi obwodowe są oznakowane, aby zapewnić przestrzeganie minimalnej odległości. Restauracja i sklep są otwarte w ramach obowiązujących limitów. Bilety można zamawiać online: www.zoovienna.at

zahnmedizin
simmering



Dr. med. dent. Jakob Ledwon | lekarz stomatolog
Dr. med. dent. Beata Ledwon | lekarz stomatolog

Pon. 13.00 - 19.00	Wt. 10.00 - 15.00
Śr. 13.00 - 18.00	Czw. 08.00 - 18.00
Pt. 08.00 - 16.00	

Sängergasse 10/4/1 | 1110 Wien
Tel. 01 7676 100 | praxis-zahnarzt-wien.eu Alle Kassen

PRAWNIK POLSKI

UDZIELA

FACHOWYCH I RZETELNYCH PORAD I POMOCY W ZAKRESIE:

- Załatwianie wszelkich spraw w urzędach
- Uzyskiwanie i przedłużanie pozwolenia na pracę
- Rejestracja firm i prowadzenie działalności gospodarczej
- Uzyskiwanie Gewerbeschein
- Pomoc przy sporządzaniu deklaracji podatkowych
- Uzyskiwanie zwrotu kosztów dojazdów do Polski
- Nabywanie praw do emerytury i renty
- Pomoc przy wypełnianiu wszelkich niezbędnych formularzy w tym zakresie
- Dokonywanie rozliczenia podatkowego firmy
- Pisanie wszelkiego rodzaju pism urzędowych
- Nabywanie kredytów na korzystnych warunkach
- Spraw związanych z płaceniem podatku kościelnego
- Wszelkich spraw spornych z pracodawcą w Arbeiter Kammer
- Zawieranie umów mieszkaniowych takich jak Hauptmiete, Untermiete
- Pomoc w uzyskiwaniu świadczeń rodzinnych
- Ubezpieczenia samochodów i osób prywatnych
- Uzyskiwanie odszkodowań z tytułu wypadków samochodowych
- Współpraca z notariuszem i adwokatem
- Tłumaczenie dokumentów w języku polskim i niemieckim
- i wielu, wielu innych sprawach prywatnych i zawodowych

MAGISTER PRAWA MARIA BIERNAT

1200 WIEN, JÄGERSTR.12 (wejście od ulicy) TEL: 2903387 lub 0664/5130562

GODZINY URZĘDOWANIA:

Od poniedziałku do piątku, godz. 15.30 do 20.00.

Z ZARAŻĄ przez wieki

Od początku 2020 r. informacje o rozprzestrzenianiu się nowego koronawirusa zdominowały nagłówki gazet na całym świecie. W dziejach ludzkości epidemie wybuchały jednak wielokrotnie.

Veronika Iwanowski

Jak w przeszłości ludzie reagowali na ich nagłe pojawienie się? Czy w dzisiejszym krajobrazie miejskim Wiednia są jeszcze ślady, które przypominają o dawnych plagach?

Około 770 r. wydarzyło się coś, czego do dziś nie da się wytłumaczyć – dżuma tak po prostu zniknęła z Europy, a powróciła dopiero około 600 lat później w postaci niszczycielskiej pandemii.

Dżuma – w obliczu śmierci wszyscy są równi

„Czarna Śmierć” jest pojęciem znanym wszystkim nawet dziś. Już sam ten fakt świadczy o tym, jak epidemie dżumy z czasów średniowiecza i wczesnych czasów nowożytnych silnie zakorzeniły się w ludzkiej świadomości.

Dżuma była znana już w czasach starożytnych

Pierwsze odnotowane pojawienie się dużej epidemii dżumy datowane jest na VI wiek. Chodzi o tzw. dżumę Justyniana, noszącą swą nazwę od nazwiska panującego wówczas cesarza bizantyjskiego Justyniana (r. 527–565), który podobno sam zachorował na dżumę. W samym Konstantynopolu zmarło wówczas 300 tysięcy osób. Przyпуска się, że zaraza rozpoczęła się na obszarze Orientu, a następnie rozprzestrzeniła się z dużą prędkością na cały region Morza Śródziemnego. Eksplodowała raz po raz przez 230 lat, przy czym między wybuchami zwykle upływało 12 lat. Uważa się, że ogromne straty w populacji przyczyniły się do ogromnego osłabienia Cesarstwa Bizantyjskiego, a w dalszej konsekwencji do jego upadku.

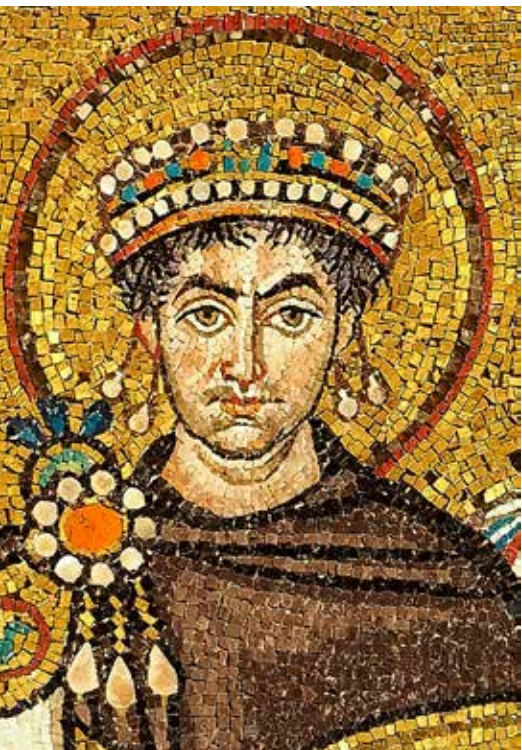
ludzi, co stanowiło jedną trzecią ludności ówczesnej Europy. Choroba ta jest wywołana przez bakterię *Yersinia pestis*, czyli pałeczkę dżumy, która została odkryta dopiero pod koniec XIX wieku. Określenie „czarna śmierć”, oznaczające dżumę, stało się popularne w krajach niemiecko- i anglojęzycznych dopiero od XIX wieku, jednak już w XVI wieku mówiono o „czarnej” chorobie, z uwagi na ciemne przebarwienia skóry wokół guzów, powstałych w wyniku śmierci komórek.

Śmierć wędruje z nami

Patogen dżumy prawdopodobnie dotarł do Europy szlakami handlowymi z Azji. Lokalne ogniska choroby wystąpiły tam w okresie poprzedzającym wybuch epi-



Wędrowni biczownicy



Justynian I, fragment mozaiki z kościoła San Vitale w Rawennie

demii. Pozostaje jednak bez odpowiedzi pytanie, dlaczego dżuma nie uśmierciła tak wielu ludzi w Indiach i Chinach jak w Europie, mimo że w tym czasie Chiny miały już większą gęstość zaludnienia.

Daremna walka

Załogi przybywających do Europy statków były izolowane na nich przez okres 40 dni, nazywany z języka francuskiego „une quarantaine de jours”. Niemniej jednak środek ten nie mógł dotyczyć zainfekowanych szczurów, które opuszczały statki i sprowadzały czarną śmierć do miast i wsi.

Warto odnotować, że w następstwie zamknięcia granicy przez króla polskiego Kazimierza I ziemia Polski została praktycznie ocalona. Wynikało to w dużej mierze z wiejskiej struktury polskiego państwa.

Co też ciekawe, ponoć mediolańczycy zamurowywali drzwi i okna domów osób zakażonych, aby nie dopuścić do dalszego rozprzestrzeniania się choroby. Były to jednak jednostkowe przypadki w początkowej fazie epidemii.

Medycyna – między szarlatanerią a postępem

Ówczesna wiedza na temat chorób zakaźnych była niewystarczająca do podjęcia skutecznych działań. Fakt, że zwierzę może zarazić człowieka, nie był nawet brany pod uwagę. Jednakże ludzie wie-

rzyli w tzw. teorię miazmatyczną, zgodnie z którą w wyniku procesów gnilnych zachodzących w powietrzu choroba ta dotarła do Europy z zakażonym, tzw. morowym, powietrzem ze Wschodu.

Ówczesny medyk leczący dżumę jest postacią rozpoznawalną do dzisiaj już na pierwszy rzut oka. Długi dziób na jego masce miał szczególne przeznaczenie: był wypełniony ziołami, aby uchronić lekarza przed zgnitym, morowym powietrzem. Ale maski nie były zjawiskiem tak powszechnym, jak by się wydawało. Do ich popularności przyczynił się zwłaszcza karnawał wenecki. Fakt, że maski te nie stanowiły skutecznej ochrony, nie jest już dziś zaskoczeniem. Lekarze czasów pomoru byli w ciągłym niebezpieczeństwie.

Mimo że cieszyli się oni dużym szacunkiem u ludności, na ogół nie mieli wiele do zaoferowania w walce z tą chorobą. Często żądali od pacjentów dodatkowych opłat za nieskuteczne środki zaradcze. Powszechną „metodą uzdrawiania” było np. upuszczanie krwi. Ponadto krążyły informacje o kuriozalnych metodach zapobiegawczych, zgodnie z którymi zaraza m.in. oszczędzała domy, których okna były otwarte tylko na północ.

Wiara jako wsparcie i destrukcja

Człowiek XIV wieku próbował znaleźć w wierze odpowiedzi na wszystkie trudne pytania. Powszechnym widokiem na ulicach średniowiecznych miast byli biczownicy, którzy maszerowali przez miasta w procesjach i biczowali się, by czynić pokutę. Były one tak popularne, że osłabiały wpływy Kościoła, który w obliczu epidemii był bezradny. Świeckie władze również traciły wpływy, ponieważ ich widoczna bezsilność w obliczu zarazy sprawiała, że ludzie zaczęli wątpić w autorytet władzy. Natomiast tacy święci jak św. Rochus i św. Sebastian, patroni epidemii dżumy, byli nad wyraz czczeni.

W wyniku kryzysu spowodowanego dżumą wybuchały zamieszki wymierzone przeciwko mniejszościom, które nie mogły już liczyć na ochronę ze strony Kościoła i świeckich władców, z powodu utraty przez nich kontroli. Spowodowało to brutalne pogromy Żydów, których niesłusznie obwiniano o wybuch epidemii. Nie tylko dyskryminacja ludzi innych wyznań odegrała w tym pewną rolę. Wielu widziało w tym możliwość uniknięcia spłaty swoich długów, ponieważ Żydzi, w przeciwieństwie do chrześcijan, mo-

gli handlować pieniędzmi, a tym samym udzielać pożyczek.

Życie takie, jakie ludzie dotychczas znali, zmieniło się gwałtownie. Giovanni Boccaccio, ówczesny świadek dżumy we Florencji, dobitnie opisuje to w swoim dziele „Decameron”. Pokazuje narastającą tragedię: ludzie oddalają się od siebie, nie wypełniają już swoich obowiązków, ulegają różnym pokusom, ponieważ w obliczu zbliżającej się nieuchronnie śmierci słabnie motywacja, by zachować swój dotychczasowy styl życia.

Skutki wielkiej dżumy

Wysoka liczba ofiar śmiertelnych i wydłupienie całych obszarów nie były jedynymi konsekwencjami „czarnej śmierci”. Miejsca pracy musiały zostać obsadzone. Surowe przepisy dotyczące przyjmowania rzemieślników do cechów zostały złagodzone, ponieważ brakowało siły roboczej. Pozwoliło to ludziom pełnić zawody, do jakich w innych okolicznościach nie mieliby nigdy dostępu. Lasy, które padły ofiarą wyrębu w związku ze wzrostem liczby ludności, mogły odnowić się, dzięki mniejszemu popytowi na drewno.

Pandemia doprowadziła również do większego zainteresowania się medycyną. Sekcje zwłok, które wcześniej były



Św. Rochus, Katedra św. Szczepana



Drzeworyt Michaela Wolgemuta z 1493 r. Motyw „danse macabre”, popularny w okresie późnego średniowiecza, zainspirowany został czarną śmiercią

zabronione, teraz były wykonywane w nadziei na znalezienie w ciałach zmarłych ludzi przyczyny wybuchu choroby. Zwiększone zainteresowanie ludzkim ciałem było pierwszym krokiem w kierunku nowoczesnej medycyny. Jednak pałeczka dżumy została odkryta dopiero pod koniec XIX wieku przez lekarza i bakteriologa Alexandre’a Jeana Yersina.

Rok 1679 – lekarz walczy o prawdę

Zimą 1678 r. lekarz, a jednocześnie rektor Uniwersytetu Wiedeńskiego Paul de Sorbait, próbował przekonać rząd Dolnej Austrii, że zaraza, która szalała w wiedeńskim Leopoldstadt, jest dżumą. Jego ostrzeżeń nie wzięto pod uwagę aż do czerwca 1679 r. Zanim władze wreszcie zareagowały, było już za późno – dżuma nieubłaganie pochłaniała swoje ofiary. Szacuje się, że około 12 tysięcy mieszkańców Wiednia zmarło z tego powodu.

Wiedeń był wówczas gęsto zaludnionym miastem, a higiena na ulicach i w gospodarstwach domowych była więcej niż niewystarczająca. Dżuma została sprowadzona z zewnątrz, prawdopodobnie z Węgier (wcześniej wybuchła w Azji). Ze względu na szeroko rozgałęzione połączenia handlowe, była przenoszona z zawrotną prędkością przez pchły, które dostawały się do gospodarstw za pośrednictwem szczurów.

Śmierć kształtuje życie codzienne

Cesarz Leopold I i jego świta zdecydowali się na ucieczkę z Wiednia. Zwłoki piętrzące się na poboczach dróg szybko stały się tragiczną codziennością. Wywożono je do masowych grobów na przedmieściach. Groby były, zgodnie z nakazem Paula de Sorbaita, przysypywane wapnem,

aby można było umieścić w nich jak największą liczbę zmarłych. Znalezienie wolontariuszy chętnych do wykonania takiej pracy nie było łatwym zadaniem. Dlatego też zmuszano do niej więźniów, którzy przy okazji oddawali się rabunkom na ulicach i napadom na bezbronną ludność.

Legenda o dobrym Augustynie

Nie można nie wspomnieć o człowieku, który stał się sławny w wyniku dżumy w 1679 r. i który jest znany do dziś – Augustynie, lepiej znanym wiedeńczykom jako „dobry Augustyn”. Był to miejski oryginał, który wędrował od knajpy do knajpy ze swoimi dudami i grał, zarabiając w ten sposób na życie.

Augustyn podobno cieszył się ogromną popularnością wśród mieszkańców. Był też znany z tego, że chętnie i dużo pił. I ten właśnie nałóg stał się niemalże jego zgubą. Kiedy po nocnym pijaństwie zaśnął na środku ulicy, przechodzące obok służby miejskie wzięły go za ofiarę dżumy i wrzuciły na swój wózek razem ze zmarłymi. Przebudzenie Augustyna z pewnością nie było przyjemne – znalazł się on w jednej ze zbiorowych mogił, obok ciał ofiar epidemii. Jego dudy uratowały mu życie, ponieważ pracownicy, usłyszawszy głośną muzykę dochodzącą z jednego z dołów, wciągnęli Augustyna z powrotem do świata żywych. Augustyn nadal grywał w gospodach na swoich dudach, a teraz dodatkowo opowiadał przerażającą i ekscytującą historię o swoim ocaleniu. Do tej pory jednak nie jest pewne, czy rzeczywiście taki był przebieg zdarzeń. Mogiła, w której Augustyn się obudził, znajdowała się prawdopodobnie w pobliżu kościoła św. Ulricha, w dzisiejszej 7. dzielnicy Wiednia. Na cześć dobrego Augustyna od 1907 r. stoi na tamtejszym placu pomnik z fontanną.

Dobry Augustyn do dziś pozostaje w świadomości wiedeńczyków, przypominając im, że humor może pokonać strach. Według przekazów, lubiący wypić Augustyn nie zaraził się chorobą, co przypisano zbawiennemu wpływowi alkoholu. Do dzisiaj wspominany jest w ludowej przysłówce *Oh du lieber Augustin*. Podobno zmarł z przyczyn naturalnych i spoczywa na cmentarzu St. Marx.

Kolumna jako symbol wiary i władzy

Jeszcze jedno miejsce w 1. dzielnicy upamiętnia tragedię z 1679 r. – słynna wiedeńska kolumna morowa. Cesarz Leopold

I przysiągł ufundować taki pomnik wotywny ku czci Trójcy Świętej, w podzięce Bogu za zakończenie zarazy.

Po ustąpieniu dżumy najpierw wzniesiono drewnianą kolumnę, a później kamienną, w stylu barokowym. Na kolumnie uwieczniona został również postać cesarza Leopolda I. Pomnik tego rodzaju, oprócz wyrażenia głębokiej wiary i wdzięczności, miał też inny cel – uwielbienie cesarza wyrzeźbionego w kamieniu, który mógł zaprezentować się ludowi jako pośrednik między Bogiem a człowiekiem.



Arnold Böcklin, Dżuma, obraz z 1898 r.

Wiedeńska kolumna morowa, której głównym wykonawcą był architekt Johann Bernhard Fischer von Erlach, posłużyła jako wzór dla wszystkich innych kolumn, które były wznoszone w monarchii.

Rok 1713 – ostatni wielki wybuch dżumy w Europie Środkowej

Także w przypadku epidemii z 1713 r. dżuma została prawdopodobnie sprowadzona z Węgier. Szacuje się, że zmarło wtedy około 2000 osób. Sprawujący władzę w tym czasie cesarz Karol VI, syn Leopolda I, pozostał w mieście, w przeciwieństwie do swojego ojca.

Działania podjęte wówczas w celu walki z epidemią przypominają obecną sytuację: szkoły i uniwersytety zaprzestały działal-



Rysunki dzieci złożone pod kolumną

Kolumna morowa (Pestsäule). Pusta ulica Graben w czasach koronawirusa

ności, spotkania w gospodach były zabronione, a targi mogły odbywać się tylko na zewnątrz. Na granicy z Węgrami, skąd nadeszła choroba, zintensyfikowano kontrole, żywność sprowadzano tylko z Czech. Kwarantanna została nałożona na niektóre przedmieścia. Osoby, które dzieliły miejsce zamieszkania z chorymi, były izolowane.

Zapomniane miejsce kwarantanny

Chorzy zostali umieszczeni w kwarantannie w tzw. Piekarni (Bäckerhäusel). Był to oddział szpitala miejskiego. Po otwarciu Szpitala Ogólnego (Allgemeines Krankenhaus) w 1784 r. przez cesarza Józefa II, znanego z licznych reform, „Bäckerhäusel” służył jako miejsce zakwaterowania dla nieuleczalnie i chorych psychicznie pacjentów. W XIX wieku „Bäckerhäusel”, który w tym czasie utracił funkcję lecznicy dla chorych, został nabyty przez Austria Tabakwerken. Na początku XX wieku na jego miejscu wybudowano Nowy Instytut Chemiczny, który do dziś istnieje na Währingerstrasse.

Przysięga cesarza

Epidemia z 1713 r. związana jest z jeszcze bardziej znaną wiedeńską budowlą – kościołem św. Karola (Karlskirche), stanowiącym integralną część miasta. Wspomniany cesarz Karol VI ślubował jego powstanie po wybuchu zarazy. Kościół został więc zbudowany po zniknięciu choroby, przez słynnego barokowego architekta Johanna Bernharda Fischera von Erlacha, który zmarł podczas prac budowlanych. Jego syn, Johann Emanuel Fischer von Erlach, poszedł w ślady ojca i ukończył monumentalny budynek.

To nie przypadek, że kościół jest poświęcony świętemu Karolowi Boromeuszowi, biskupowi Mediolanu. Opiekował się on bowiem chorymi podczas epidemii dżumy w Mediolanie w latach 1576–1578 i padł ofiarą tej zarazy. Podobnie jak kolumna dżumy wzniesiona na Graben, kościół św. Karola jest nie tylko symbolem pobożności cesarza habsburskiego, którego miasto było wówczas, dzięki Bożej łasce, wybawione od zarazy, ale także pomnikiem dla samego cesarza i jego imperium. Wystrój kościoła jest bogaty zarówno w symbole sacrum, jak i profanum, a jego najbardziej uderzającym motywem architektonicznym są dwie kolumny umieszczone z przodu świątyni, które wydają się obracać ku niebu. Ozdobione są płaskorzeźbami przedstawiającymi życie i cuda św. Karola Boromeusza.

Tak więc dżuma odcisnęła swoje piętno także na pejzażu miejskim. Epidemie tej choroby wciąż występują na obszarach Afryki, Azji i Ameryki.

Czarna ospa – horror XVIII wieku

Ospa szalała w Wiedniu w XVIII wieku. Dotknięci tą chorobą musieli spodziewać się śmierci lub trwałego okaleczenia. Epidemia nie oszczędziła także dzieci cesarza: zabrała życie czworgu dzieciom Franciszka I Stefana Lotaryńskiego i Marii Teresy. Natomiast syn Marii Teresy, późniejszy cesarz Józef II, stracił z powodu ospy obie żony. Zaraziła się także Maria Teresa. Przeżyła chorobę, która jednak pozostawiła trwałe ślady na jej twarzy.

W XVIII wieku zaczęto pomyślnie szczepić przeciwko ospie, czego Maria Teresa

była wielką zwolenniczką. Jednak szczepienia nie spełniły takich nadziei, jakie w nich pokładano. W szczepionkach wykorzystywano ropę z pęcherzy ospy i wcierano ją w nacięcie na skórze zdrowej osoby. Jednak na początku XIX wieku procedura ta została zakazana i zaczęto stosować ropę z ospy krowiej, ponieważ ta metoda była mniej ryzykowna.

Obecnie nie stosuje się już szczepień przeciwko ospie, ponieważ dzięki ogólnosiłkowej kampanii profilaktycznej choroba ta została oficjalnie wyćpiona w latach 80-tych. Gdyby ospa miała powrócić, konieczne byłoby przeprowadzenie nowych szczepień. Zasoby wirusa są przechowywane w amerykańskim Centrum Badawczym CDC w Atlancie, jak i w Rosji w pobliżu Nowosybirsk. Naukowcy spierają się co do sensu tej praktyki: niektórzy ostrzegają, że wirus może zostać ponownie uwolniony, i wzywają do jego całkowitego zniszczenia. Chociaż jest mało prawdopodobne, że wirus zostanie wykorzystany przez terrorystów jako broń biologiczna, nie należy lekceważyć tego ryzyka. Przeciwnicy opowiadają się za dalszym zachowaniem wirusa do celów badawczych, chociaż istnieje już skuteczna szczepionka. Wybuch w rosyjskim centrum badawczym w 2019 r. wzniecił debatę na ten temat.

Cholera – śmierć w wodzie pitnej

Wystawa Światowa z 1873 r., która odbyła się w Wiedniu, miała na celu zaprezentowanie odwiedzającym z całego świata świetności monarchii habsburskiej. Uczestniczyli w niej wystawcy z ponad 40 krajów. Na miejsce prezentacji wybrano Wiedeński Prater, obszar, który służył szlachcie jako teren łowiecki, a już w 1766 r. został przekazany przez cesarza Józefa II na cele rekreacyjne. Symbolem wystawy była rotunda, monumentalna szklana i stalowa konstrukcja zwieńczona największą wówczas kopułą na świecie.

Jednak zaledwie kilka dni po otwarciu Światowej Wystawy Expo wiedeńska giełda papierów wartościowych załamała się – wiele firm upadło, a liczba samobójstw gwałtownie wzrosła. I właśnie wtedy, gdy ludzie myśleli, że nie może być gorzej, choroba zakaźna uderzyła w naddunajską metropolię i pochłonęła około 3000 istnień ludzkich. Tą chorobą była cholera.



Der liebe Augustin, grecka gospoda – to tutaj podobno Augustyn często występował

Cholera jest spowodowana patogenem bakteryjnym *cholera vibrio*. Rozwija się ona głównie w wodzie stojącej i może być przenoszona przez jej zanieczyszczenie, a więc również przez spożycie zainfekowanej żywności. Ze względu na brak sieci kanalizacyjnej, ścieki z przedmieść wpadały do rzeki Wiedni i Dunaju. Zanieczyszczona woda przedostawała się w ten sposób do studni, z których ludzie czerpali wodę, poprzez wody gruntowe. Dotyczyło to zwłaszcza biedniejszych klas, które musiały żyć w niekorzystnych warunkach higienicznych. Patogen powodował wymioty i ciężką biegunkę. Ciało traciło płyny, wysychało. Szok i niewydolność nerek w końcu powodowały śmierć.

Wybuch cholery w 1873 r. doprowadził do ucieczki zwiedzających wystawę światową. Wbrew wszelkim nadziejom i oczekiwaniom, przedsięwzięcie zakończyło się ogromnym fiaskiem.

W związku z brakiem wiedzy na temat rzeczywistej przyczyny rozprzestrzeniania się choroby, ponownie głos zabrali przedstawiciele miazmatycznej teorii chorób, upatrujący przyczyny chorób epidemicznych w zanieczyszczonym powietrzu, brudzie i odrażających zapachach. Uważali oni, że cholera jest zawarta w toksycznych oparach, które unoszą się nad powierzchnią wody. W latach 80. XIX wieku niemiecki lekarz Robert Koch odkrył *cholera vibrio*. Wraz z regulacją rzek i budową pierwszego wiedeńskiego wodociągu wysokociśnieniowego, który został otwarty w październiku

1873 r., ostatecznie udało się zapobiec zagrożeniu. Rozbudowa sieci kanalizacyjnej jest nierozłącznie związana z powtarzającymi się wybuchami cholery. Chociaż epidemia z 1873 r. jako ostatnia uderzyła w Wiedeń, to od lat 30. XIX w. miasto wielokrotnie borykało się z tą chorobą. Dzisiaj cholera jest powszechna w krajach, których ludność cierpi z powodu złych warunków higienicznych.

Hiszpańska grypa – „walka o oddech”

Hiszpańska grypa trwała dwa lata i pochłonęła więcej ofiar niż I wojna światowa. Zaczęła się rozprzestrzeniać w ostatnim roku wojny. Aby nie osłabiać gotowości bojowej i morale żołnierzy, o chorobie początkowo nie wspomniano w mediach. Tylko jedna hiszpańska gazeta doniosła o tym, stąd też właśnie wzięła się nazwa „hiszpańska grypa”. Hiszpańska grypa nie pochodziła jednak z Hiszpanii. Prawdopodobnie zaczęła się ona w Stanach Zjednoczonych i została rozprzestrzeniona przez żołnierzy amerykańskich na kontynencie europejskim wiosną 1918 r.

Hiszpańska grypa (inna nazwa to influenza) jest uważana za największą pandemię grypy w dziejach. Jest ona powodowana przez wirusy i przenoszona drogą kropelkową lub dotykową. Szczególnie niebezpieczne są możliwe choroby wtórne, takie jak zapalenie mięśnia sercowego i zapalenie płuc. Po zakażeniu śmierć następowała zazwyczaj zaledwie kilka dni później. Ze względu na niedobór tlenu skóra chorego robiła się niebieskawa. „To walka o oddech”, jak napisał w liście w 1918 r. lekarz wojskowy Roy Grist. Walka, którą w latach 1918–1920 przegrało około 50 milionów ludzi. Początkowo hiszpańska grypa była stosunkowo nieszkodliwa, ale druga fala, która przetoczyła się przez świat jesienią

1918 r., dotknęła już wszystkich, bez względu na wiek czy przebyte choroby.

Hiszpańska grypa szalała w Wiedniu jesienią i zimą 1918 r. i spowodowała śmierć około 9 tysięcy mieszkańców. W dniu 31 października 1918 r. zabiła swoją najślawniejszą ofiarę: austriackiego malarza Egona Schielego. Zmarł w Wiedniu w wieku 28 lat. Jego żona Edith, która była w szóstym miesiącu ciąży, zaledwie kilka dni wcześniej zmarła także na tę chorobę.

Schiele pokazał śmierć trzy lata wcześniej na obrazie „Śmierć i dziewczyna”, który znajduje się obecnie w Belvedere Museum w Wiedniu. Porusza motyw często używany w renesansie: młoda kobieta, symbol kwitnącego życia, która rzuca się w ramiona śmierci jak w ramiona kochanka. Kolejna z prac Schielego, „Przycajona ludzka para” lub „Rodzina” (również znajduje się w Belvedere) zyskała tragiczną interpretację w związku ze śmiercią jego rodziny. Powstała ona w roku śmierci artysty i pozostała częściowo nieukończona.

Koronawirus – świat się zatrzymuje

A koronawirus? Trudno porównać dawne okoliczności i warunki higieniczne z dzisiejszymi, ale niepewność ludzi w obliczu zjawiska trudnego do opanowania pozostaje taka sama. Koronawirus nie jest pierwszą zarazą panoszącą się w Wiedniu. Wiele konsekwencji kryzysu, który spowodował, może być jeszcze dziś nieznanych, ale jedno jest pewne – podobnie jak wcześniejsze choroby, opuści nas pewnego dnia.

Jak na nas wpłynie, co się zmieni w naszym życiu, co się zmieni w Europie i na świecie? To wszystko zostanie kiedyś dokładnie opisane i zanalizowane. Symbolem koronawirusa nie będzie już maseczka z dziobem, ale być może zwykła maseczka założona na cały globus ziemski.



Kościół wotywny św. Karola

Święta Korona patronka od epidemii

Czczona i bardzo znana w wiekach średnich patronka chroniąca przed epidemiami to... święta Korona! W miejscowości St. Corona am Wechsel znajduje się kościół pielgrzymkowy z figurką świętej, do tradycji należą też coroczne pielgrzymki św. Korony. Z kolei w 15. dzielnicy Wiednia przy Sechshauser StraÙe mieści się apteka pod św. Koroną!

Teresa Sotowska

W obecnych warunkach szerzenia się na całym świecie koronawirusa warto przypomnieć postać męczennicy z pierwszych wieków chrześcijaństwa – św. Korony, czczonej od dawna jako patronki chroniącej przed epidemiami. Choć należała

niegdyś do popularnych świętych, to o jej życiu i pochodzeniu wiemy bardzo niewiele. Miała się urodzić na ziemiach dzisiejszego Egiptu lub Syrii ok. 160 roku n.e. i zginąć śmiercią męczeńską w 177 (według innych przekazów żyła latach 287–303 r.).

Z tych szczątkowych danych wynika, że jeszcze jako nastolatka została żoną Wiktora – rzymskiego żołnierza ze Sieny, chrześcijanina, który w czasach prześladowań wyznawców Chrystusa w Cesarstwie Rzymskim nie chciał wyrzec się swojej wiary, za co został stracony. Młoda wdowa zginęła również śmiercią męczeńską w okresie prześladowań za czasów cesarza Antoniusza Piusa albo Dioklecjana. Według przekazu etiopskiego oboje byli członkami wspólnoty wczesnochrześcijańskiej.

Cześć oddawana św. Koronie, podobnie jak obecny dziś w różnych krajach świata koronawirus, także „przekroczyła granice”. Legendy o tej męczennicy z czasów późnego antyku znane są w Azji, Afryce i Europie.

Pierwsza grecka legenda o Wiktorze i Koronie umieszcza ich męczeńskie losy w Damaszku, ale była ona później powtarzana w różnych wariantach. Dlatego też obok dzisiejszej stolicy Syrii jako miejsce ich śmierci wymienia się także Antiochię na południu dzisiejszej Turcji, Aleksandrię w Egipcie, Sycylię i Marsylię. Świętą Koronę czczą kościoły grecki, łaciński i etiopski.

Z Bliskiego Wschodu legenda o niej dotarła do Włoch najpóźniej w VI wieku. Relikwie obojga małżonków znajdują się w Castelfidardo na wybrzeżu Adriatyku koło Ankony. Już wtedy powstał tam poświęcony im kościół. W VI wieku św. Koronę ukazywano jako przykład wierności wierze. W 997 roku cesarz Otton III przewiózł relikwie do Akwizgranu, a w XIV wieku cesarz Karol IV sprowadził je też do Pragi.



Św. Korona, główny ołtarz w kościele pielgrzymkowym w St. Corona am Wechsel

Z tamtego okresu pochodzą również pierwsze dowody oddawania czci tej świętej w Bawarii, Czechach i Dolnej Austrii. Tam i w niektórych innych regionach św. Korona czczona jest jako patronka chroniąca ludzi przed epidemią i złą pogodą, ale też i symbolizuje trwanie w wierze.

W 1504 roku w małej miejscowości St. Corona am Wechsel w Dolnej Austrii w wydrążonym pniu lipy znaleziono jej figurkę, a na pamiątkę tego wydarzenia wzniesiono tam drewnianą kaplicę. W 1583 roku umieszczono ją w murowanej kaplicy. W latach 1689–1690 powstał w tym miejscu kościół parafialny i pielgrzymkowy, w którego ołtarzu głównym znajduje się właśnie figurka św. Korony. W Dolnej Austrii do tradycji należą coroczne tzw. pielgrzymki św. Korony.

Kult tej świętej znany jest też w innych częściach Austrii, również w Wiedniu, gdzie do dziś działa apteka św. Korony. Przy tej okazji media austriackie zwracają uwagę, że fakt, iż bite przez mennicę austriacką w latach 1892–1924 roku monety nazywano na pamiątkę świętej „koronami”, należy tłumaczyć tym, że św. Korona jest także patronką inwestorów, poszukiwaczy skarbów i osób grających na loterii.

Kościół katolicki wspomina św. Koronę 14 maja. I stąd nasuwa się pytanie: czy do tego dnia zostanie już pokonane największe współcześnie epidemiczne zagrożenie?



Master of Palazzo Venezia Madonna – St. Corona (1340–60)

Magdy okno na świat

Magdalena Marszałkowska: autorka zabawnych felietonów, ciekawych wywiadów, ważnych artykułów społecznych, sztuk teatralnych, reżyserka. Założycielka teatru XYZ. Jej tekst o odkrywaniu polskości przez drugie pokolenie migrantów znalazł się w podręczniku języka polskiego dla klasy 7.

Rozmawia Halina Iwanowska

– Rozmawiamy na odległość, w czasach społecznej izolacji w związku z pandemią koronawirusa. Pracowałabyś teraz nad przygotowaniem kolejnego spektaklu teatralnego. Jak sobie radzisz z koniecznością zmiany wszystkich planów?

– Jest we mnie taki wewnętrzny spokój, że co ma być, to będzie. Głową muru nie przebiję, więc koncentruję się na tym, co mogę zrobić, a nie na tym, czego nie mogę. Ostatnie dwa lata nauczyły mnie, żeby nie mieć wobec życia żadnych oczekiwań, nie nastawiać się na nic, nie cieszyć się na zapas, że coś tam NA PEWNO będzie wspinało, bo nic w życiu nie jest „na pewno”. Dostosowuję realizację planów do tego, co się dzieje tu i teraz. Musiałam wstrzymać pracę nad trzema projektami teatralnymi. Trochę spekulowałam: odwoływać, przesunąć? A potem po prostu zaakceptowałam rzeczywistość. Robimy przerwę i tyle. Ja się nie nudzę i nie załamuję, bo mam też życie pozateatralne.

Czy w ogóle warto zajmować się tematem wirusa, czy lepiej pisać ku pocieszeniu serc?

– Sam wirus nie jest dla mnie interesującym bohaterem, natomiast to, co się dzieje w związku z nim, izolacje, kwarantanny, spiskowe teorie i polityka strachu oraz to, jak te zjawiska działają na jednostkę,

to jest ogromnie ciekawe. A czy warto się tym zajmować? Złym emocjom dobrze jest się przyglądać i ja staram się to robić w moich tekstach na wesoło. Tym razem będzie tak samo.

Dlaczego zdecydowałaś się przyjechać do Austrii?

– Do Austrii przygnała mnie miłość, a właściwie wojsko. Mój mąż mieszkał ze mną we Wrocławiu, ale jako obywatela Austrii wezwano go do odrobienia zastępczej służby wojskowej, więc zdecydowałam się, że pojedzie z nim na rok do Wiednia, a potem wrócimy do Wrocławia. Ten rok trwa już 17 lat.

Z wykształcenia jesteś historyczką sztuki. Czy to wykształcenie było przydatne w Austrii?

– Każde wykształcenie, obojętnie jakie, przydaje się zawsze i wszędzie. W Austrii pracowałam przy restytucjach dzieł sztuki zagrabionych w czasie II wojny światowej i w galeriach, więc miałam szansę również popracować w zawodzie. Część wiedzy z historii malarstwa okazała się przydatna również w teatrze. Dramaturgia malarstwa religijnego to kopalnia wiedzy o emocjach zawartych w jednym geście czy spojrzeniu.

Dlaczego wybrałaś teatr? Co jest najbardziej fascynujące w tej formie docierania do odbiorcy?

– Uwielbiam teatr za kontakt z żywym człowiekiem tu i teraz. Możliwość przebywania w sali teatralnej z widzami i obserwowanie ich reakcji jest czymś niezwykłym, choć może być to również doświadczenie bolesne. Każdy spektakl jest dla mnie jak egzamin: będą się śmiać? Będą ziewać? Patrzą w telefon lub na zegarek czy są pochłonięci akcją? Tu nie ma ściemy. Od razu wiadomo, czy tekst dociera do widza, czy dowcip był śmieszny, czy ktoś ociera łzę, bo się wzruszył, czy po prostu ziewa ze znużenia. Konfrontacja z widzem w teatrze to najlepsza lekcja, a sam widz to najlepszy nauczyciel.

We wrześniu 2013 miał miejsce Twój debiut teatralny. Sztuka „Okno na świat” to kpina z kultu młodości. Dlaczego wybrałaś taką tematykę? Jak został przyjęty ten spektakl?

– Zrealizowaliśmy ten projekt w grupie znajomych, mieliśmy to zagrać dwa razy dla przyjaciół i przygoda po dwóch spektaklach miała się zakończyć. To publiczność domagająca się kolejnych spektakli zdecydowała o tym, że z planowanych dwóch zrobiło się dwadzieścia, a w międzyczasie pojechaliśmy z „Oknem” do Frankfurtu, do Berlina, Bratysławy i do Polski. To była wspaniała przygoda, bo robiliśmy coś po raz pierwszy, z błędami, a jednak wszędzie





Spektakl „Iwona, księżniczka Burgunda”

ludzie byli tym spektaklem poruszeni. Temat wziął się jak zwykle z życia. Zaczęłam obserwować kobiety na emeryturze, szczególnie takie, które całe życie poświęciły innemu, pomijając swoje własne marzenia. Główna bohaterka to taki model Matki Polki na emeryturze, która całe życie najpierw oporządzała dzieci, męża, dom, potem szła do pracy, a po powrocie od nowa sprzątała ten cały inwentarz. Mnie zainteresowało, co się dzieje z taką kobietą, gdy mąż umrze, dzieci wyjdą z domu, a życie zawodowe się zakończy. Co takiej kobiecie zostaje? Ciężki temat samotności poprzepłatałam pastiszem telenoweli brazylijskiej, oglądanej przez główną bohaterkę, i to okazało się strzałem w dziesiątkę. Do tej pory jestem przez ludzi pytana właśnie o „Okno na świat”, a minęło już siedem lat od premiery. Ludzie pokochali „Okno” chyba ze względu na absolutną szczerść przekazu oraz główną rolę brawurowo zagrana przez Halinę Graser.

Potem wszystko toczy się szybko: **czerwiec 2013 – premiera sztuki „My byliśmy tutaj pierwsi”, październik 2016 – premiera sztuki „Cicha noc”, marzec 2017 – reżyserujesz sztukę Marcina Szczygielskiego „Wyduska”, a w październiku tego samego roku swoje „Masculinarium”. W maju 2018 odbywa się premiera musicalu „Przyjaciółki” z Twoimi tekstami i premiera sztuki Witolda Gombrowicza „Iwona, księżniczka Burgunda”. Rok temu, w maju 2019, wystawiasz sztukę „Tu leży pies pogrzebany”. Jak udaje się utrzymać takie tempo pracy?**

– Niektórzy nazywają to pasją, ja to odczuwam bardziej jak obłąd. To, co robię, jest absolutnie nielogiczne. Nie studiowałam reżyserii, co jest mi „przypominane” na każdym kroku, dodatkowo pracując w teatrze, na własne życzenie, poddaję się publicznej krytyce. Czasem myślę: „Po co ci to? Czemu ty, Marszałkowska, tak się wystawiasz ludziom na pożarcie? Siedz w jakiejś firmie, wracaj po pracy do domu i oglądaj seriale na Netflixie, będziesz mieć święty spokój”. Tylko że chyba „święty spokój” to nie jest mój sposób na życie. Przy każdej produkcji teatralnej mówię, że to już jest ostatni raz. A potem budzę się i głowa mi pęka od ilości nowych pomysłów, które mnie uwierają, więc muszę znaleźć sposób, żeby się ich pozbyć. A to jest możliwe tylko poprzez ich realizację.

Jak rodzi się tekst? Na Facebooku zażartowałaś sobie z wyobrażeń o pisarzach, zamieszczając znakomite zresztą zdjęcie Thomasa Salamonskiego, na którym z papierosem, przy butelce whisky, siedzisz przy maszynie do pisania. Jak to jest naprawdę?

– Inspiracją dla mnie są ludzie, ich wzajemne relacje, zachowania, słowa, które wypowiadają, i momenty, kiedy nagle milkną. Podsluchuję ludzi w tramwajach, zapisuję rozmowy przy piwie, po prostu obserwuję świat.

A to zdjęcie autorstwa Tomka Salamonskiego jest takim żartem na temat wyobrażeń ludzi o pracy pisarza. Że jakaś wena przychodzi, a on w oparach dymu, płodzi wersy, odurzony alkoholem i własną fantazją. Rzeczywistość jest nudna i mało



„Spektakl „Cicha noc”

spektakularna. Pisanie to zwykła praca i do tego ciężka, bo opierająca się na samotności i samodyscyplinie. Trzeba zrobić dokumentację, a potem siedzieć tygodniami na tyłku i pisać. Klepie się w klawiaturę komputera, oczy łzawią, kręgosłup boli, łeb pęka, i klepie się w klawiaturę dalej, potem się kasuje ponad połowę i znowu się klepie. I tyle. W szlafroku, dresach, często z tłustymi włosami. Życie, w trakcie procesu pisania, odbywa się na osi biurko, łóżko, kuchnia. Właściwie kwarantanna i izolacja to moje naturalne środowisko.

Kim są ludzie, którzy współtworzą ten teatr?

– Ludzie chcący ze mną pracować czy współtworzyć teatr XYZ najczęściej zgłaszają się do mnie sami. Przy doborze obsady mam w głowie taką bazę danych, kto kogo mógłby zagrać. Bywa, że akurat jest do wzięcia taka rola, do której nie mam odpowiedniego aktora. Wtedy udaję się na aktorskie łowy i jak znajduję taką osobę, to proponuję współpracę. Jeżeli na projekt teatralny dostajemy dofinansowanie, to informuję każdego aktora o tym, z jakimi honorariami będziemy mieć do czynienia. Jeżeli tego dofinansowania nie ma, to też każdy w zespole wie, na co się zanoszi. Każdy musi sam wiedzieć, czego chce od pracy w teatrze, i ocenić proponowane warunki. Są jednak osoby, które z teatrem XYZ są od początku, lub trwają we współpracy dobrych kilka lat, to Marcin Marszałkowski i Ola Mazur, fotograf i grafik Thomas Salamonski, tłumaczka Danuta Strobl i kompozytor Maciej Heller. Oni o pieniądze nie pytają nigdy, chemia nam

się jeszcze nie zaburzyła i jakoś pchamy te taczki razem pod górę.

Wróćmy do Twojej ostatniej sztuki, która, przypomnijmy, miała premierę w maju 2019 i nosiła tytuł „Tu leży pies pogrzebany”. – My nawet sami nie decydujemy, ile będziemy to życie żyć. To niby nasze życie może się skończyć w każdej chwili, czy ci się podoba, czy nie. Zresztą i tak umieramy w każdej minucie życia – mówi Bezdomy, jeden z głównych bohaterów sztuki. Znakomity polski aktor Zbigniew Cybulski powtarzał, że „trzeba umieć wachać czas”. I Tobie się to udało. Okazuje się, że te oczywiste prawdy nabrały teraz szczególnej wymowy. Jak rodzą się pomysły na taką właśnie sztukę, co chciałaś poruszyć w widzach, jaki to miał być rodzaj struny?

– Nigdy nie planuję tego, jaką strunę chciałabym poruszyć w widzu, jakie emocje chciałabym wywołać. Każdy widz będący na spektaklu ogląda tak naprawdę inną sztukę, która się odbywa w jego głowie. W każdym człowieku rezonuje coś innego, co wynika z jego własnego życiorysu, doświadczeń i indywidualnej wrażliwości. Dla mnie ważne jest, żeby u widza pojawiły się jakiekolwiek emocje, nawet krytyczne wobec samego spektaklu. Tylko obojętność jest dla mnie porażką. Zdarzały się takie momenty, że ktoś mi mówił, że jego cała rodzina po powrocie ze spektaklu pokłóciła się przy kolacji o moją sztukę, i on mnie przeprasza, ale wujek „zjechał” ten spektakl, ale mama broniła. Albo ktoś mi uprzejmie „donosił”, że na jakiejś imprezie obgadywano jedną z moich



Spektakl „Tu leży pies pogrzebany”

sztuk do czwartej nad ranem. Wow! Jeżeli na imprezie towarzysko-alkoholowej nie ma lepszych tematów? Niech mówią, niech się piekają, ale niech coś się z nimi dzieje.

Twoje sztuki poszły w świat, były wystawiane w Polsce, na Słowacji, na Węgrzech. Co przyniosło Ci największą radość, a co było największym rozczarowaniem?

– Każda osoba, z którą współpracowałam przez te ostatnie 7 lat, była w danym momencie ważna i cenna. Jeżeli zaś chodzi o moją osobistą największą radość teatralną, taką namacalną był udział w Międzynarodowym Festiwalu Gombrowiczowskim, na którym wystąpiliśmy z „Iwoną, księżniczką Burgunda”. Po pierwsze zostaliśmy fantastycznie przyjęci przez ówczesną dyrektorkę. Takiej serdeczności i gościnności nikt z naszego zespołu się nie spodziewał. Na festiwalu byliśmy jedyną wolną grupą teatralną w otoczeniu instytucji takich jak Teatr Ateneum, Teatr Dramatyczny czy Teatr Narodowy. To było ogromne przeżycie. Dzień przed nami spektakl z Andrzejem Sewerynem i Magdaleną Zawadzką, po nas balet Teatru Narodowego, a pomiędzy tymi tytanami my, teatr bez teatru, bez sceny, bez kasy, z reżyserką, która nie jest reżyserką. Jak o tym pomyślę, to uśmiecham się do siebie i klepię się po ramieniu.

Ostatnio udało Ci się spełnić Twoje wielkie marzenie: podróż do Jordani. Dlaczego marzyłaś o tej podróży?

– Powody były dwa: dzieciństwo spędzone w kinie z Indiana Jonesem oraz historia zsyłki na Sybir mojej babci. Od jakiegoś czasu podążam jej śladami. Babcia była

zesłana do Kazachstanu, a gdy utworzono Armię Andersa, dołączyła do Pomocniczej Służby Kobiet. Przebyła z wojskiem cały szlak na Bliskim Wschodzie, była w kompanii transportowej i jeździła ciężarówką w konwojach z Hajfy do Egiptu. Ostatecznie wylądowała w Anglii w RAF-ie, gdzie poznała mojego dziadka, pilota Dywizjonu 301. Odwiedzam teraz miejsca związane z jej tułaczką wojenną i Jordania była jednym z punktów na tej mapie.

Podążanie śladami babci będzie miało dalszy ciąg – również literacki. Co możesz nam zdradzić?

– Kilka lat temu zaczęłam pisać scenariusz filmowy na podstawie wojennych losów mojej babci, ale przerodziła się w konieczność dokonania skrótów, bo materiału mam na serial – tasieniec. Dla mnie ta historia jest zbyt emocjonalna, żeby mogła sama określić, co wyrzucamy, a co zostaje. Teraz zastanawiam się, czy nie lepiej byłoby w pierwszej kolejności napisać książkę. Jakiś muszę tę historię wykorzystać literacko, bo noszę ją w sobie stanowczo za długo.

Czego Cię nauczył ten szczególny czas ciszy?

– Że nie warto za bardzo przywiązywać się do swoich zamiarów, płakać nad rozlanym mlekiem, tylko mieć plan B i C i nie bać się zmian. Zmiany bywają bolesne, ale bez nich stoi się w miejscu. Bez względu na to, jak bardzo jest to oklepane twierdzenie, naprawdę warto żyć tu i teraz, a nie w przeszłości czy w planach na przyszłość.

Skrócona wersja rozmowy. Cały tekst znajdziecie na stronie www.polonika.at

KSIĘŻNA

Historia tej niecodziennej znajomości – licząc w latach – nie jest może zbyt długa, z pewnością jednak obfituje w zadziwiające przypadki i nieoczekiwane sploty zdarzeń. Zresztą od jednego z nich się zaczęła...

Anita Sochacka

Późną jesienią 1981 r., tuż przed ogłoszeniem w Polsce stanu wojennego, do Wiednia przybywa czteroosobowa rodzina z Krakowa, Anna i Andrzej Ptakowie z dwiema córkami, Agnieszką i Małgorzatą. Zaledwie przed rokiem udało jej się – na cudem zdobyte paszporty – wyjechać do Austrii. Wówczas cała czwórka umieszczona została w obozie dla uchodźców, a wskutek porozumień między krajami zachodnimi, wspierającymi „solidarnościową” opozycję w Polsce, mogła wybrać kraj docelowy spośród Australii, Austrii i Stanów Zjednoczonych.

Cała czteroosobowa rodzina jako świeży azylanci poleciała za Atlantyk, by po kilku miesiącach zmagani z przeciwnościami losu i kłopotami zdrowotnymi wrócić do Wiednia. Dzięki Caritasowi mogli na krótko zamieszkać w hostelu, który służył ludziom w podobnej do nich sytuacji życiowej, a wspomaganych przez organizację pomocową Polenhilfe. Nie mają jednak środków do życia, pracy, perspektyw.

W roku 1981 jeszcze nikomu się nie śniło o mediach społecznościowych, a internet znany jest jedynie w kołach wojskowych i naukowych. Na co dzień ludzie słuchają radia. Pewnego listopadowego poranka, zjadłszy skromne śniadanie, księżna Eleonora Maria Teresa Sibylla Zofia Schwarzenberg z domu Stolberg słyszy w radiu ogłoszenie o poszukującej pomocy polskiej rodzinie. Księżna Eleonora Schwarzenberg, od 16 lat wdowa po Heinrichu księciu Schwarzenberg, spośród wielu nieruchomości posiada klasztor sióstr na Rennwegu przy Palais Schwarzenberg,

który sama zamieszkuje. Ponadto posiada nieograniczone pokłady empatii...

– *Zajęliśmy kilka pomieszczeń przy klasztornej hotelu, prowadzonego przez siostry zakonne. Sam adres: Palais Schwarzenberg, przyprawił o zawrót głowy – wspomina Anna Ptak. – Z okien widzieliśmy przepiękny ogród, oczko w głowie księżnej Lori, jak nazywali ją najbliżsi. Musiał być piękny na wiosnę, wyobrażałam sobie przede wszystkim kwiaty na klombach, grządkach, i bzy, ogromne pachnące bzy.*

Tę samą zimy rodzina Ptaków będzie się przeprowadzać jeszcze kilkukrotnie do różnych miejsc, udostępnianych im przez księżną. Raz po raz ona sama będzie podsuwać ojcu rodziny, Andrzejowi, kolejne propozycje pracy. Ten jednak żadnej nie podejmuje: nigdy nie był ogrodnikiem czy leśnikiem, nie jeździł traktorem, nie zna się na orce. Księżna załamuje ręce nad, wydawałoby się, jego beztroską, ale Andrzej podświadomie czuje, że najlepsze dopiero nadejdzie. Przeczucie go nie myli: wiosną 1982 r. w technicznej szkole HTL w Hollabrunn jest wakat na stanowisku nauczyciela wychowania fizycznego. Rodzina Ptaków osiada w tamtejszym przyszkolnym internacie. Andrzej Ptak jest w swym żywiole, trenuje młodzież w różnych dyscyplinach lekkoatletycznych, już po kilku tygodniach oklaskuje na stadionie swojego pierwszego mistrza kraju. „Die Presse” poświęca mu artykuł.

Pewnego wiosennego dnia w swym pałacu położonym 60 km od Hollabrunn, księżna Eleonora Maria Teresa Sibylla Zofia Schwarzenberg z domu Stolberg natrafia

w porannej prasie na zdjęcie znanej sobie postaci. Jeszcze tego samego dnia przyjeżdża do Hollabrunn.

– *Najpierw w drzwiach naszego mieszkania pojawia się ogromny bukiet pięknych pachnących bzów, za nimi wkracza księżna. Od progu tłumaczy się, że musiała na własne oczy zobaczyć, że Andrzej pracuje i że radzimy sobie – opowiada pani Anna. – Zaprosiła nas wtedy do spędzenia z nią wakacji w jej leśniczówce w Katsch nad rzeką Mur, rodowych terenach Schwarzenbergów.*

Leśniczówka w Katsch an der Mur w Styrii, ukryta wśród gęstych, iglastych lasów, do której wiedzie kręta, wyboista droga, to doprawdy zaczarowane miejsce. Budowla wzniesiona z drewna zachowała specyficzny zapach substancji konserwującej drewno, wewnątrz skrzypiące schody i podłogi, podczas burz wystawiona na bezlitosne działanie wyładowań atmosferycznych,

siedziało się wtedy przy świecach. Na piętrze tajemnicze królestwo – biblioteka z regałami do sufitu, zapelniona starodrukami, białymi krukami oraz albumami z fotografiami członków tego zasłużonego artystokratycznego rodu od połowy XIX w., czyli od czasu, gdy mamy do czynienia z fotografią. – *Tam uwielbiałem się zaszywać – wspomina Andrzej Ptak. – Z kolei nasze córki uciekały na strych, gdzie mogły przebierać się w dawne stroje składowane w skrzyniach.*

Przy leśniczówce miała księżna swój ogródek, gęsto porośnięty różnymi gatunkami traw, bylin, krzewów i kwiatów. Właściwie nie było w nim ścieżek. – *Pewnego dnia chciałam nieco przetrzebić tę gęstwinę i pozbyć się chwastów, energicznie zabrałam się do plewienia. To jednak nie spodobało się księżnej, która – jak na biologa z wykształcenia przystało – każdą roślinę traktowała jako okaz badawczy, napisała przecież kilka książek z dziedziny botaniki. Więc to, co dla mnie było chwastem, dla niej niezbędną częścią flory, której zmieniać nie należało.*

Po przeprowadzce rodziny Ptaków do Wiednia (Andrzej Ptak przez lata dojeżdżał codziennie do Hollabrunn i wciąż trenował sportowców), Anna, dzięki wstawiennictwu księżnej, dostaje pracę w księgowości w kancelarii prawnej Johanny Kammerlander, obsługującej większość wiedeńskich spraw Schwarzenbergów.

Również ta kancelaria przeprowadza w 1994 r. przekazanie państwu polskiemu kolekcji książąt Lanckorońskich.

Ptakowie są na tyle zaprzyjaźnieni z księżną, iż ta bywa na „parapetówce” w ich pierwszym mieszkaniu, na przyjęciu komunijskim ich młodszej córki, wręcza im klucz do bramy głównej pałacu, by spojrzeli gospodarskim okiem na ogród podczas jej nieobecności w mieście, a nawet daje się sportretować temperą kilkunastoletniej wówczas Małgorzacie, która po latach ukończy architekturę na Uniwersytecie Wiedeńskim. Obraz do dziś wisi na honorowym miejscu w mieszkaniu rodziny Ptaków.

Księżna jest bardzo aktywna, jeździ na rowerze, uwielbia pływać, z satysfakcją opowiada o osiągnięciach dzieci jej jedynej córki Elżbiety, czyli aż siedmiorga jej wnucząt! Lata płyną, powoli role zaczynają się odwracać: teraz częściej księżna potrzebuje pomocy. Andrzej wozi ją do lekarzy specjalistów, służy transportem o dowolnej porze. Księżna rezygnuje z dość uciążliwych w jej wieku wyjazdów do Katsch, coraz częściej i dłużej przebywa w Wiedniu. W marcu 1994 r. planowała spędzić miesiąc w Afryce, była bardzo podekscytowana perspektywą egzotycznej podróży.

– *Obawialiśmy się nieco tej Afryki dla niej. Przecież w tym wieku tak drastyczna zmiana klimatu nie jest wskazana – zauważa pani Anna. – Wróciła zachwycona*

tym kontynentem. Pod koniec życia nieoczekiwanie przeżyła wspaniałą przygodę.

Lecz wtedy zbliżał się koniec: diagnoza nowotwora nie pozostawiała zbyt wiele nadziei. – *Księżna uznała, że to rodzaj przeznaczenia, poddała się, przyjęła to nie jako wyrok, lecz kolej losu, pogodziła się. Próbowałam ją rozweselić, późną jesienią odwiedziłam ją w szpitalu wraz z moim małym wnukiem, lecz w niej nie było już woli walki, woli życia. Odchodziła tak jak żyła – w przekonaniu, że wszystko jest człowiekowi na górze zapisane. Z pełną świadomością i godnością.*

27 grudnia 1994 r., księżna Eleonora Maria Teresa Sibylla Zofia Schwarzenberg z domu Stolberg odeszła otoczona rodziną w swej rodowej siedzibie, Gusterheim.

– *Księżna Lori była człowiekiem wybitnym, bo była... taka normalna – kończy wspomnienie Anna. W gablocie kredensu stoi używany od wielkiego święta zestaw do herbaty z wytwórni porcelany Weiden w Bawarii. Jedna z dwu pamiątek po księżnej Eleonorze Schwarzenberg. Ta druga – klucz do bramy głównej pałacu – leży zawinięta w chusteczkę w szufladzie.*

Księżna Eleonora Maria Teresa Sibylla Zofia Schwarzenberg, z domu Stolberg (ur. 8 sierpnia 1920 r. w Micheldorf, zm. 27 grudnia 1994 r. w Gusterheim) – córka księcia Georga Ernsta Marii Karla Josepha Antona Stolberga i księżnej Reginy z d. Reuss. Od 1946 r. małżonka księcia Heinricha Schwarzenberga (ur. 1903 w Preßburg, dziś Bratysława, zm. 1965 r. w Wiedniu), Kawalera Zakonu Maltańskiego, adoptowanego w 1940 r. syna księcia Adolfa Schwarzenberga. Jej córka Elżbieta Regina Gabriela (ur. 1 października 1947 r.) wraz z mężem Bernhardem Friedrichem Arnoldem Rüdigerem von Pezold początkowo mieszkała w Pöls, by po latach przyjąć obywatelstwo czeskie i w Pradze zabiegać o zwrot majątku Schwarzenbergów, anektowanego podczas II wojny z rozkazu Hitlera, a następnie znacjonalizowanego przez rząd Czechosłowacji.

Andrzej Ptak – wieloletni trener lekkiej atletyki w Polsce i Austrii, był bohaterem jednego z wywiadów „Poloniki” w numerze lipcowym 2019 r. pt. „Wędrowny Ptak”.



Księżna Eleonora z Małgosią w w ogrodach Pałacu Schwarzenberg

Polscy medycy w austriackich szpitalach

W czasie pandemii koronawirusa oni są najbardziej narażeni: pracownicy medyczni. Rozmawiamy z pielęgniarką, położną i lekarzem o tym, jak zmieniła się ich praca, czego się obawiają i co radzą pacjentom.

Justyna Ossowska

Katarzyna Schweitzer – pielęgniarka

W jakim szpitalu Pani pracuje?

– Już od 30 lat pracuję w szpitalu Barmherzige Brüder w Wiedniu.

Co należy do Pani obowiązków?

– Mam ich sporo: wizyty lekarskie i pielęgniarskie, pobieranie krwi, opatrunki, infuzje, pielęgnacja pacjenta, psychiczna opieka nad pacjentami i członkami ich rodzin, kontrola parametrów vitalnych i dokładna dokumentacja komputerowa wszystkich pielęgniarskich czynności, sporządzanie planu pracy, zarządzanie przydziałem łóżek.

Jak wygląda Pani praca w czasie pandemii?

– W tej chwili personel mojego oddziału podzielony jest na grupy, z których każda pracuje tydzień i kolejny tydzień ma wolny. Jest to uciążliwe, gdyż zmęczenie i psychiczne obciążenie przychodzą już po pierwszym dyżurze, a do tego dochodzi obowiązek noszenia maseczek, przez co wciąż mam uczucie, że brakuje mi powietrza.

Jest dużo ciężiej niż zwykle?

– Codzienna ilość informacji, postanowień, nakazów jest wręcz przytłaczająca. Mamy mniejszą liczbę personelu, część

fol. archiwum prywatne



była przecież na domowej kwarantannie, inni nie mogą przekroczyć granicy, tak jak na przykład nasze słowackie koleżanki. Doszło więc dużo dodatkowej pracy, co powoduje sporo stresu.

Jakim sprzętem ochronnym się posługujecie?

– Na normalnym oddziale obowiązkowe jest ciągle noszenie masek z filtrem FFP3. W bezpośrednim kontakcie z pacjentem nosimy plastikowy fartuch ochronny. Specjalne kombinezony obowiązują tylko na tzw. oddziałach COVID-owych.

Czego się Pani najbardziej obawia w pracy?

– My, pielęgniarki, mamy bezpośredni kontakt z pacjentem, więc zawsze jeste-

śmy narażone na wszelkiego typu wirusy i bakterie, które przynosi ze sobą nasza praca, a więc higiena stoi na pierwszym miejscu. Obecna sytuacja niesie ze sobą duże psychiczne obciążenie, natłok obowiązków sprawia, że czujemy się przytłoczone. Obawiam się, że przez najbliższy czas będziemy konfrontowani z takimi emocjami, dlatego tak ważne jest wzajemne wsparcie i duża porcja humoru.

Czy praca wpływa na Pani życie rodzinne?

– Tak, naturalnie, oddzielić tego nie potrafię. Przeżyte sytuacje krążą mi po głowie, rozpamiętuję je w drodze do domu. Czasami długo nie mogę zasnąć.... Potrzebne wtedy jest kilka dni w kręgu rodzinnym, to czyni mnie silniejszą.

Jakie cechy charakteru powinna mieć pielęgniarka?

– Talent organizatorski, odporność na stres, empatię, ale przede wszystkim trzeba kochać swój zawód.

Co wpłynęło na Pani wybór?

– Ach, zawdzięczać to mojej mamie, która widząc, jak wszystkie moje lalki i miśki po licznych operacjach pozawijane były w opatrunki, podsunęła mi wybór tego właśnie zawodu!

Dr Tomasz Korzeniewski – lekarz

W jakim szpitalu Pan pracuje i na jakim stanowisku?

– Pracuję w szpitalu KH der Barmherzigen Brüder jako specjalista na Oddziale

Anestezjologii i Intensywnej Opieki Medycznej, w ciągu ostatnich lat głównie na Oddziale Intensywnej Opieki Medycznej (OIOM).

W jaki sposób teraz, podczas epidemii koronawirusa, zmieniła się Pana praca?

– Pracowaliśmy w zespołach A i B: przez tydzień byłem w pracy, potem był tydzień wolny, ale w gotowości w domu na wypadek, gdyby w zespole B ktoś z powodu zakażenia COVID-19 musiał się poddać izolacji lub kwarantannie, co zresztą miało miejsce. Mieliśmy i mamy do czynienia z pacjentami z podejrzeniem o nosicielstwo. Pacjenci z potwierdzonym zakażeniem SARS-COVID 2 byli i są bezzwłocznie transferowani do jednoimiennego szpitala, w Wiedniu do Kaiser-Franz-Josef-Spital. Pacjenci z podejrzeniem COVID-19 wymagają do momentu wykluczenia infekcji tych samych procedur co pacjenci zakażeni „koroną” – a nawet muszą być bardziej rygorystycznie izolowani.

Czy warunki pracy są dużo trudniejsze?

– Jest inaczej. Na początku było dużo niepewności, strachu, wręcz poczucia jakiegoś stanu wyjątkowego: zakaz urlopów, dużo nieracjonalnych zachowań wśród personelu. Staliśmy przed dużymi logistycznymi wyzwaniem, gdyż pacjenci muszą być czasowo izolowani, istnieje zakaz odwiedzin w szpitalu, z małymi tylko wyjątkami, co wywołuje nieznane dotąd sytuacje emocjonalne u pacjentów i u rodzin pacjentów. Od tygodnia trwa tzw. odmrażanie, tzn. następuje powrót do operacji planowanych, co jest bardzo utrudnione ze względu na obecne rygory i konieczność wykonywania testów u każdego pacjenta.

Czego się Pan najbardziej obawia w pracy? Czy istnieje strach przed zakażeniem?

– Obawiam się, że wszyscy myślą o koronawirusie i zapominają, że nadal występują inne ostre i przewlekłe schorzenia, które nie zniknęły na czas pandemii. Strach przed zakażeniem jest dużo mniejszy, niż na początku. Na początku pandemii zakażaliśmy się od kolegów i koleżanek z pracy, a nie od pacjentów. Przy obecnych procedurach ryzyko zakażenia się w szpitalu, jeśli chodzi o personel, jest minimalne.

fol. archiwum prywatne



Ma Pan teraz większą wiedzę na temat tej choroby. Jakie są Pana rady dla innych?

– Wszyscy, szczególnie na OIOM-ach przygotowaliśmy się dużej liczby pacjentów i sytuacji takiej jak we Włoszech czy Hiszpanii – na szczęście tak się nie stało. Wiedza o tej chorobie i sposobach jej leczenia ewoluowała z dnia na dzień, standardy terapii COVID-19, w ramach intensywnej opieki medycznej, są dzisiaj inne, niż chociażby miesiąc temu.

Moja rada to przede wszystkim zachowanie zdroworozsądkowe: dystans, maska w pomieszczeniach zamkniętych i świeże powietrze: trudno jest zarazić się podczas uprawiania sportu na świeżym powietrzu. Znaczenie tej choroby, jej wpływ na gospodarkę i zdrowotne stany uboczne, ocenę kroków podjętych przez rząd będziemy mogli przeprowadzić dopiero z perspektywy czasu.

Jakie cechy charakteru powinien mieć lekarz?

– Powinien być fachowcem z odpowiednią dawką empatii, który nie boi się powiedzieć pacjentom prawdy.

Co wpłynęło na wybór tego właśnie zawodu?

– Tradycja rodzinna i perswazja mojej matki.

Czy znajomość języka polskiego przydaje się Panu w pracy?

– Tak, ale także niektórym rodakom, którzy są pacjentami w naszym szpitalu.

fol. archiwum prywatne



Renata Romaniewicz – położna



Jak długo pracuje Pani w zawodzie położnej?

– W Wiedniu pracuję już 29 lat jako dyplomowana położna na sali porodowej i oddziale położniczym, od początku w tym samym szpitalu, tzn. w Wilhelminenspital. Moje doświadczenie zawodowe jest jednak dłuższe, gdyż zanim przyjechałam do Austrii, pracowałam 7 lat w Polsce, w szpitalu w Legnicy. Przyjechałam do Austrii z dosyć dobrą znajomością języka niemieckiego. Dyplom nostryfikowałam w Akademii dla Położnych w Wiedniu.

Prowadzi Pani też swoją prywatną praktykę.

– Tak, od 22 lat prowadzę też indywidualną opiekę nad kobietami w ciąży, prowadząc prywatną praktykę w 14. dzielnicy Wiednia. Prowadzę Szkołę Rodzenia (Geburtsvorbereitungskurs) opiekuję się moimi pacjentkami, rozmawiam z nimi, przygotowuję je do porodu. Zapewniam też pomoc związaną z opieką poporodową nad matką i noworodkiem. Porady dla wszystkich kobiet są refundowane przez kasę chorych w ramach tzw. Mutter-Kind-Pass, w okresie od 18. do 22. tygodnia ciąży, natomiast kursy przygotowawcze do porodu pacjentki opłacają indywidualnie.

Jeśli zsumujemy wszystkie lata pracy, to wyjdzie ich 36. Czy da się policzyć, w ilu porodach Pani uczestniczyła?

– Było ich na pewno bardzo, bardzo dużo! Na przykład w szpitalu w Legnicy w czasie jednego dyżuru rodziło się średnio ośmioro dzieci. W Wiedniu było ich mniej, ale i tak daje to pokazną liczbę!

Czy w ostatnich latach kobiety są lepiej przygotowane do porodu? Jaka jest średnia wieku?

– Naturalnie, że wiele się zmieniło. Przede wszystkim nam, położnym, umożliwiono bardziej samodzielną pracę, prowadzenie indywidualnych porodów, oczywiście przy współpracy z lekarzem, który ingeruje, gdy pojawia się jakaś komplikacja. Zmienia się przede wszystkim to, że większość kobiet swoje pierwsze dziecko rodzi po 35. roku życia. Liczba porodów z każdym rokiem wzrasta, w naszym szpitalu jest ich ok. 1900 rocznie. Kobiety podchodzą bardziej świadomie do macierzyństwa, są o wiele lepiej przygotowane do porodu, posiadają też większą wiedzę na temat pielęgnacji dziecka czy jego karmienia.

Co jest najpiękniejsze, a co najtrudniejsze w tym zawodzie?

– Najpiękniejsze jest to, że codziennie uczestniczę w powitaniu nowego mieszkańca Ziemi, że uczestniczę w tym pięknym momencie, służąc matce całym swoim doświadczeniem.

Z drugiej strony jest to bardzo odpowiedzialna praca, dlatego, że położna odpowiada i za mamę, i za dziecko. Odpowiadamy też za stan psychiczny osoby towarzyszącej kobiecie w porodzie – a zatem za trzy osoby. To jest zadanie ogromnie wyczerpujące, wymagające wielkiej koncentracji, bo nie wolno mi niczego przeoczyć.

Czy może Pani podzielić się jakimś wyjątkowym wspomnieniem, które na zawsze pozostanie w Pani pamięci?

– Pamiętam poród studentki, która wcześniej przeszła bardzo ciężką operację brzucha. W czasie porodu była obecna jej mama, ponieważ z partnerem dziewczyna nie miała już kontaktu. Urodziła córeczkę. Co to była za radość widzieć tę małą dziewczynkę, jej mamę i babcię – czyli trzy pokolenia. Musiałam je uściskać, bo ta radość była podwójna: trudny poród się udał i na świecie pojawił się nowy człowiek, witany z taką radością przez mamę i babcię. Takie chwile pozostają na zawsze w pamięci.

Co się zmieniło w Pani pracy w czasie pandemii koronawirusa?

– Przede wszystkim pacjentki zaczęły się bardzo bać. Pojawiło się wiele pytań o bezpieczeństwo mamy i dziecka i o to, jak będzie wyglądała opieka w szpitalu. Kursy przygotowawcze do porodu zostały

znacznie zredukowane, nie mogły odbywać się grupowo. Tak jak wszędzie, pojawiły się obostrzenia: konieczność noszenia maseczek, zakaz odwiedzin na oddziale położniczym. Jest to bardzo przykre, gdyż po porodzie ojciec dziecka musi opuścić szpital i dziecko może zobaczyć dopiero, gdy mama wróci z nim do domu.

Ciągłe noszenie maski jest dla mnie uciążliwe. Dyżur trwa przecież 12 godzin, wiąże się z wielkim wysiłkiem psychicznym i fizycznym, a taka maska to przecież mniej tlenu. Dlatego po takim dyżurze czuję się o wiele bardziej zmęczona, niż kiedyś. Dłonie mam suche jak papier od nieustannego mycia rąk i noszenia rękawiczek.

Na początku personel też się bał, bo przecież nikt z nas nie wiedział, jak sytuacja będzie się rozwijała.

Sytuacja jednak powoli się poprawia?

– Tak, bo możemy już powoli spotykać się z pacjentkami, a nie prowadzić rozmowy w postaci wideokonferencji. Nic nie zastąpi osobistego kontaktu, dzięki któremu buduje się wzajemne zaufanie i zupełnie inaczej przekazuje wiedzę.

Co Pani radzi kobietom w ciąży?

– Nie bójcie się, nawet w tej trudnej, wyjątkowej sytuacji, bo jak zawsze możecie liczyć na swoją położną. Najważniejsze jest mentalne przygotowanie, przedstawienie się na pozytywne myślenie: nie bójcie się koronawirusa, nie bójcie się porodu i tego, czy poradzicie sobie z opieką nad dzieckiem. Poradzicie sobie na pewno. Tym bardziej, że w Austrii wszystkie kobiety w ciąży mogą iść na przedwczesny urlop macierzyński, a więc są dodatkowo chronione.

Widziałam wiele w ciągu moich 36 lat pracy i zapewniam was, że miłość mamy przewycięża wszystko.



Wędrówki po Wiedniu i okolicach

Wiedeńskie miejskie szlaki turystyczne mają łączną długość ponad 240 kilometrów.

Przebiegają przede wszystkim przez położony na peryferiach miasta Las Wiedeński i przez podmiejskie tereny rekreacyjne Wiednia.

Są dobrze oznakowane i można do nich dotrzeć za pomocą komunikacji miejskiej. Restauracje i gospody oraz oberże przy trasach zapraszają do krótkiego odpoczynku, podobnie jak ławki i stoły przy szczególnie pięknych punktach widokowych czy polanach.

Status klasyka ma jedenastokilometrowa Stadtwanderweg 1 (Miejski Szlak Turystyczny Nr 1). Zaczyna się na stacji końcowej linii tramwajowej D w wiedeńskim skupisku oberży Nussdorf i prowadzi przez porośnięte winem zbocza i lasy do wieży widokowej Stephaniawarte na górze Kahlenberg – umiarkowanie stromą drogą, ale za to z najlepszym widokiem na miasto, Las Wiedeński i Dunaj. Po wypadzie do tradycyjnej, ale i nowoczesnej „Hütte am

Weg” (chata przy drodze, „Josefinenhütte”) po około 3,5-4 godzinach dociera się z powrotem do punktu wyjścia, wędrując spokojnie po łagodnie opadającym grzbiecie góry Nussberg. W restauracji Kahlenberg, oberżach na Wildgrubgasse czy Kahlenberger Straße, a także w gminie Nussdorf, można idealnie połączyć spacer z kulinarnymi rozkoszami. Alternatywą jest Stadtwanderweg 1a, który zaczyna się przy Nussdorfer Platz. Ten szlak prowadzi wzdłuż promenady na brzegu Dunaju i prowadzi na góry Leopoldsberg i Kahlenberg. Podobnie jak w przypadku pierwszej trasy, po jedenastu kilometrach można zakończyć wędrówkę w którejś z czarujących oberż w romantycznej wiosce Kahlenbergdorf.

Jeśli zwiedzisz Zielony Prater, będziesz miał okazję zobaczyć byłe tereny łowieckie cesarza. Najlepiej trzymać się znaków trzynastokilometrowego Stadtwanderweg

9 (miejski szlak turystyczny nr 9), który prowadzi prosto płaską ścieżką z Praterstern (linia U1, stacja metra Praterstern) nieopodal głównej alei (Hauptallee) przez łąki i lasy aż do małego terenu zalewowego Freudenau.

Wege zum Wein na obrzeżach miasta oferują szlaki w pobliżu góry Bisamberg. Jednym z tych szlaków jest słynny Stadtwanderweg 5. Przespaceruj się wzdłuż starych piwnic winnych i wybierz się na wędrówkę przez winnice i lasy dębowe.

Dla bardziej wysportowanych otwarto w 2005 r. ponad 120-kilometrowy szlak turystyczny Rundumadum („dookoła”), który okrąży miasto i jest podzielony na 24 łatwe do pokonania etapy. Do punktu początkowego i końcowego każdego etapu można dotrzeć za pomocą komunikacji miejskiej. Po drodze można odpocząć w gospodach i schroniskach. Jeśli w pięciu miejscach rozsianych po szlaku zdobędziesz stempekliki potwierdzające, że obszedłeś szlak rzeczywiście „dookoła”, dostaniesz w nagrodę „odznakę wędrowcy”!

Więcej: www.wandernmap.net

reklama

Polska: +48 600 500 585
Austria: +43 676 793 17 67
www.goldexpress.pl

Goldexpress
Jonatan

międzynarodowy licencjonowany przewóz osób i rzeczy

**sprawdź
nasze promocje!**

**TELEWIZJA
SATELITARNA**

Serwis anten i dekoderów do odbioru programów polskich, niemieckich, austriackich i innych

– Telewizja na kartę Smart HD
– 50 polskich programów: bez umowy, niepotrzebny adres w Polsce (opłata tylko 180 zł/rok)

Tel. 0664 331 56 22
pon.-sob. 12.00-18.00

mgr Adam Jaworski
Tłumacz przysięgły

języków:
polskiego, niemieckiego, angielskiego

Uwierzytelnione tłumaczenia, także bezpośrednie z języka polskiego na angielski

tłumaczenia w urzędach
Währinger Str. 14/12, 1090 Wien
Tel. 01/319 73 87
Tel.kom. 0664/988 96 87
www.jaworski.at
E-mail: office@jaworski.at

Dojazd: U2, Schottentor-Universität lub tramwaje: D, 1, 37, 38, 40, 41, 42, 43, 71

Polskie pamiątki w Austrii, cz. XI

W jedenastej części cyklu o polskich pamiątkach w Austrii nadal pozostajemy w 1. dzielnicy Wiednia i odwiedzamy dwa kościoły: Kościół Minorytów oraz kościół św. Anny, w których odnajdujemy polskie ślady.

Śławomir Iwanowski

Minoritenkirche (Minoritenplatz 2a, 1010 Wien)

Kościół Minorytów (Zakonu Braci Mniejszych Konwentualnych, zwanych potocznie w krajach niemieckojęzycznych franciszkanami minorytami, a w Polsce franciszkanami konwentualnymi) znajduje się w ścisłym centrum wiedeńskiej dzielnicy rządowej, przy Minoritenplatz. Sąsiaduje z budynkami Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Spraw Zagranicznych, Edukacji, Austriackiego Archiwum Państwowego oraz Kancelarii

Federalnej (Bundeskanzleramt). Zbudowany został w XIII wieku, przebudowany w XVIII i od tego czasu jest narodowym kościołem włoskim w Wiedniu.

Obraz św. Maksymiliana Kolbego

Jednym z najbardziej znanych franciszkanów był św. Maksymilian Kolbe (1894–1941). W prawej nawie kościoła znajduje się utworzone w 1983 r. miejsce pamięci poświęcone temu polskiemu katolickiemu męczennikowi XX wieku. W centralnym miejscu wisi olejny obraz z jego wizerunkiem. Obraz został ufundowany przez parafię kościoła, a jego autorem jest Mario Bulfon z Triestu. Postać ojca Maksymiliana Kolbego przedstawiona została na tle niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz.

W czasie okupacji niemieckiej 28 maja 1941 r. Maksymilian Kolbe został uwięziony w Auschwitz. 29 lipca 1941 r. podczas obozowego apelu dobrowolnie wybrał śmierć głodową w zamian za skazanego współwięźnia, ojca rodziny. *Chcę umrzeć za niego* – powiedział SS-manowi. *Jestem polskim księdzem katolickim. On ma żonę i dzieci.*

Ojciec Kolbe umieszczony został w celi głodowej, zmarł 14 sierpnia 1941 r. dobity zastrzykiem trucizny. Jego ciało zostało spalone w obozowym krematorium. Więzień, za którego oddał życie, przeżył obóz koncentracyjny i doczekał się wyzwolenia.

Maksymilian Kolbe został beatyfikowany w 1971 r., a w roku 1982 r. kanonizowany przez papieża św. Jana Pawła II i ogłoszony świętym męczennikiem. W trakcie mszy kanonizacyjnej na placu świętego Piotra w Rzymie w swej homilii Jan Paweł II powiedział m.in.: *Ojciec Mak-*

symilian Kolbe, więzień obozowy, upomniał się w obozie śmierci o prawo do życia niewinnego człowieka – jednego z milionów. Podczas uroczystości obecny był ocalony przez o. Maksymiliana Kolbego więzień.

Św. Maksymilian Kolbe upamiętniony jest w Wiedniu jeszcze w kilku miejscach. Szczególnym miejscem jego kultu jest poświęcona mu kaplica w kościele parafialnym Wien-Alservorstadt w 8. dzielnicy Wiednia. Podczas swych podróży do Rzymu kilkakrotnie w tym kościele celebrował msze św. Przedstawię to miejsce



Rzeźba Wita Stwosza
w kościele św. Anny

przy okazji omawiania polskich pamiątek w tej dzielnicy Wiednia.

St. Anna Kirche (Annagasse 3 b, 1010 Wien)

Kościół św. Anny położony jest w centrum Wiednia, przy wąskiej uliczce Annagasse. Jego historia liczy sobie 500 lat. Wybudowany został na początku XVI w. na miejscu istniejącej wcześniej kaplicy. Pierwotnie miał gotycki charakter, ale w XVII w. został przebudowany w stylu barokowym. Uważany za jeden z najpiękniejszych barokowych kościołów w Wiedniu. Znajduje się w nim kilka bocznych kaplic, a wśród nich te poświęcone św. Stanisławowi Kostce i św. Annie.

Rzeźba Wita Stwosza

Kaplica św. Anny jest oczywiście najważniejsza, a zarazem większa od pozostałych. To najprawdopodobniej najstarsza część kościoła. W jej ołtarzu znajduje się rzeźba z 1510 r. przypisywana Witowi Stwoszowi, przedstawiająca św. Annę Samotrzecią (Annę Selbritt). Wyraz „samotrzeć” nie istnieje w obecnej polszczyźnie, był to staropolski liczebnik wskazujący na element wchodzący w skład trójki.

Rzeźba jest kompozycją trzech figur wykonanych z drewna lipowego, niegdyś pokrytych polichromią. Przedstawiają one św. Annę, która w lewym ręku trzyma swą córkę Maryję, Matkę Boską, przedstawioną w postaci dziecięcej, a prawą dłonią obejmuje swego wnuka, dzieciątka Jezus. W dziele tym zawarta jest ogromna symbolika. Maryja trzyma w ręku Biblię, natomiast Jezus podaje św. Annie owoc, jabłko lub granat (w symbolice chrześcijańskiej jabłko trzymane przez Jezusa oznacza odkupienie grzechu pierworodnego, a granat Zmartwychwstanie i życie wieczne). Drugą rękę Jezus wyciąga w kierunku Marii, jednak ona wskazuje swą dłonią na Biblię.

Kult św. Anny rozwijał się w Kościele wraz z rozwojem kultu Matki Bożej i był znany już w pierwszych wiekach chrześcijaństwa. Przez stulecia św. Anna, patronka m.in. małżeństwa i matek, uchodziła za wzór wychowania dzieci dla Boga. Rzeźba św. Anny Samotrzeciej piastującej dwoje dzieci:

Maryję i Jezusa, jest jedyną pozostałością dawnego gotyckiego wystroju tego kościoła.

Wprawdzie Wit Stwosz (1448–1533) pochodził ze Szwabii, ale Polsce ten późnogotycki rzeźbiarz jest szczególnie bliski. W Krakowie spędził dwadzieścia lat, a dziełem jego życia stał się ołtarz główny w Kościele Mariackim, potocznie nazywany „krakowskim ołtarzem Wita Stwosza”, będący dziś jednym z symboli miasta.

Kaplica św. Stanisława Kostki

Z kolei kaplica poświęcona św. Stanisławowi Kostce znajduje się przy wejściu do kościoła, w pierwszym ołtarzu po prawej

stronie. Istnieje od początku XVIII wieku. Umieszczony jest w niej obraz św. Stanisława Kostki, którego decydujący etap życia rozegrał się w Wiedniu (patrz: artykuł o kaplicy św. Stanisława Kostki w 1. dzielnicy Wiednia przy Kurrentgasse 2, „Polonika” nr 269, listopad/grudzień 2018 r.).

Kaplica Stanisława Kostki jest nadzwyczaj bogato zdobiona. Z przodu barokowego ołtarza umieszczony jest portret św. Franciszka Salezego, założyciela zakonu wizytów. W sklepieniu ołtarza widnieje relief obrazujący symbol Bożego oka, a pod nim Matkę Bożą z dzieckiem. W głównej części ołtarza zawieszony jest obraz nieznanego malarza przedstawiający scenę śmierci św. Stanisława Kostki w 1568 r. w Rzymie. Ciemną gamę kompozycji rozjaśnia jedynie świetlista aureola wokół głowy świętego i jasny blask niebiańskiego firmamentu z typowym dla konwencji baroku, alegorycznym przedstawieniem Marii Panny oraz aniołów z symbolem Eucharystii.



Kaplica św. Stanisława Kostki w kościele św. Anny



Obraz św. Maksymiliana Kolbego
w kościele Minorytów

Szlakiem pamięci Mauthausen-Gusen

Niemiecki nazistowski obóz koncentracyjny Gusen, przez SS nazywany „obozem zagłady dla polskiej inteligencji” (Vernichtungslager für die polnische Intelligenz), oddalony jest o 5 km od obozu Mauthausen. Był obozem specjalnym o zaostrowym rygorze, przeznaczonym do zagłady polskich elit. Dziś określany jest mianem Drugiego Katynia.

Sławomir Iwanowski

Podczas II wojny światowej ofiarami niemieckich zbrodni na inteligencji polskiej byli politycy, profesorowie, nauczyciele, adwokaci, lekarze, sędziowie, duchowieństwo, a więc ludzie wykształceni, o wysokiej pozycji społecznej. Celem niemieckich nazistów było zniszczenie przedstawicieli polskich elit. Zbrodnia ta wymierzona była w istotę w całość narodu polski i jego kulturę. Pozostała przy życiu reszta polskiego społeczeństwa miała być sprowadzona do roli niewykwalifikowanej siły roboczej. Eksterminacja polskiej inteligencji miała na celu zniszczenie polskiej tożsamości narodowej.

W ciągu pięciu lat istnienia obozu Gusen i jego dwóch filii przeszło przez nie około 70 tysięcy więźniów wielu narodowości, z których prawie 40 tysięcy zostało zamordowanych. Większość więźniów stanowili Polacy, około 35 tysięcy, z których prawie 80% zostało zamordowanych.

Niestety, w odróżnieniu od obozu Mauthausen, pamięć o ofiarach obozu Gusen uległa po wojnie zapomnieniu. Rokrocznie pismo „Polonika” organizuje Marsz Pamięci Mauthausen – Gusen, odbywający się na początku maja, podczas głównych uroczystości rocznicowych, które mają miejsce na terenie byłego obozu Mauthausen. Celem tego Marszu jest zwrócenie uwagi na byłą obóz Gusen, który na przestrzeni swego funkcjonowania był nawet większy od obozu macierzystego Mauthausen.

W roku 2020 Marsz Pamięci miał się odbyć po raz szósty. W związku z pandemią koronawirusa wszelkie uroczystości rocznicowe w Mauthausen zostały odwołane. Zapraszamy więc na Marsz Pamięci w innej formie. Na naszych łamach przedstawia-

my portrety jedynie kilku osób spośród około 30 tysięcy Polaków, którzy zginęli w obozach Mauthausen i Gusen.



Kapłan mimo zakazu

Józef Cebula

Zamordowany w Mauthausen 9 maja 1941 r.

Józef Cebula, polski duchowny katolicki, błogosławiony Kościoła katolickiego.

Urodził się w 1902 r. w niewielkiej wiosce Malnia na Opolszczyźnie. Wychowywał się w religijnej rodzinie, wstąpił do zgromadzenia zakonnego Misjonarzy Maryi Niepokalanej i w 1927 r. przyjął święcenia kapłańskie. Ceniony jako wzorowy kaznodzieja i zakonnik, w 1937 r. zostaje mianowany przełożonym klasztoru w Markowicach w archidiecezji gnieźnieńskiej.

Po wybuchu II wojny światowej, w grudniu 1939, w ramach prześladowań polskich duchownych, miejscowe niemieckie władze okupacyjne nakazały zakonnikom z klasztoru w Markowicach, aby zniszczyli wszystkie znajdujące się w okolicy przydrożne kapliczki. O. Józef, jako ich przełożony, kategorycznie odmawia i nie podporządkowuje się tym żądaniom. Z tego powodu otrzymał zakaz wykonywania jakichkolwiek czynności kapłańskich.

Mimo zakazu, nadal sumiennie wypełnia obowiązki kapłańskie. Po kryjomu odwiedza chorych, pomaga, spowiada, chrzci dzieci i potajemnie udziela ślubów. Wskutek donosu zostaje aresztowany. 18 kwietnia 1941 wywieziono go do obozu koncentracyjnego w Mauthausen.

Zanim zostaje przypisany do obozowego baraku, jest okrutnie torturowany. Wreszcie zostaje przydzielony do karnej kompanii pracującej w kamieniołomie. Jest wyszydzany przez SS-manów i nadzorców za kapłaństwo, w czasie noszenia ciężkich kamieni ma nakaz śpiewania religijnych pieśni. Jednak o. Józef zachowuje się z godnością, która robi wrażenie na współwięźniach. Znosi szykany oprawców, twierdząc, że „mogą zabić jego ciało, ale duszy zabić nie mogą”. SS-mani znęcali się nad nim zarówno podczas pracy w kamieniołomach, jak i w obozowym bloku. W nocy wywelekali go z łóżka, zaciągali do umywalni, gdzie bili grubymi pałkami aż do utraty przytomności. Takie noce zdarzały się wielokrotnie, przez całe trzy tygodnie przebywania o. Józefa w obozie, aż do dnia jego śmierci.

9 maja 1941 r., podczas jednej z „zabaw” SS-manów, którzy zmuszali go do biegania tam i z powrotem w kierunku strefy zakazanej, zostaje popędzony na druty otaczające obóz i postrzelony z karabinu maszynowego przez wartownika. Był śmiertelnie ranny, ale żył jeszcze... Jak twierdzą świadkowie, poważnie ranny, ale wciąż żywy, zostaje wrzucony do pieca krematoryjnego. Wieść o jego heroizmie przetrwała wśród współwięźniów.

Papież Jan Paweł II beatyfikował go 13 czerwca 1999 r. w Warszawie, w gronie 108 polskich męczenników II wojny światowej.



Pisarz z sercem

Konstanty Ćwierk

Zamordowany w Gusen w sierpniu 1941 r.

Konstanty Ćwierk, pisarz, poeta, dziennikarz. Urodził się w 1895 r. w Sosnowcu w rodzinie robotniczej. Ukończył szkołę handlową, a pierwszą pracę rozpoczął w lokalnej sosnowieckiej gazecie. Już wówczas wyróżniał się dużym talentem literackim. W 1916 r. ukończył Seminarium Nauczycielskie i podjął pracę jako nauczyciel w Szkole Realnej w Sosnowcu, a następnie objął posadę kierownika i nauczyciela w szkole ludowej we wsi Gnizdowo, gdzie zaangażował się w działalność społeczną, organizując m.in. kursy dla dorosłych analfabetów. Współpracował równocześnie z lokalnymi pismami, publikując swoje pierwsze utwory poetyckie.

Zrezygnował w pracy w oświacie, powrócił do pracy dziennikarskiej, związał się z sosnowiecką gazetą „Głos Pracy”. Objął w niej stanowisko redaktora naczelnego i z ramienia redakcji pisma angażował się w działalność społeczną, organizując i wspierając komitety pomocy na rzecz powstań śląskich, zajmował się m.in. zbiórką pieniędzy i żywności dla powstańców. Karierę dziennikarza kontynuował, pracując nie tylko w redakcjach kolejnych lokalnych gazet, ale również w radiu. W połowie lat trzydziestych współorganizował w Sosnowcu regionalne studio Polskiego Radia, które później prowadził. Aż do wybuchu wojny był kierownikiem literackim tej rozgłośni, a emitowane audycje z sosnowieckiego studia cieszyły się ogromną popularnością. Wciąż pisał wiersze, opowiadania, sztuki

teatralne, a także reportaże i felietony. Za całokształt twórczości i szerzenie zamiłowania do literatury polskiej prezydium Polskiej Akademii Literatury zarządzeniem ministra przyznało mu w 1938 r. Srebrny Wawrzyn Akademicki.

Jego życie nie ograniczało się wyłącznie do pracy dziennikarskiej i literackiej, działał też społecznie. Organizował m.in. zbiórki darów dla najbardziej potrzebujących, pomagał instytucjom charytatywnym, opiekował się sosnowieckim harcerstwem, był też założycielem biblioteki dla Macierzy Szkolnej w Zagłębiu Dąbrowskim. Jego działalność spotykała się z ogromnym uznaniem ze strony społeczności Zagłębia.

1 listopada 1939 r. Ćwierk miał objąć posadę redaktora naczelnego i wydawcy „Kuriera Zachodniego”. II wojna światowa pokrzyżowała te plany i przerwała działalność Konstantego Ćwierka. Ze względu na społeczną i kulturalną działalność, która była powszechnie znana, w obawie przed aresztowaniem, po wkroczeniu wojsk niemieckich do Zagłębia, zdecydował się na ucieczkę z Sosnowca. Wyjechał na Mazowsze, jednak po kilku tygodniach powrócił do Sosnowca, sądząc, że w rodzinnym mieście jednak uda mu się bezpiecznie doczekać końca wojny. 1 maja 1940 r. został aresztowany w swoim domu przez gestapo.

Początkowo trafił do Dachau, skąd wywieziono go do obozu koncentracyjnego w KL Gusen I. Został przydzielony do komanda kamieniarzy. Pracował w kamieniołomie Kastenchof, który w swych wierszach nazywał Golgotą. W Gusen napisał kilkadziesiąt wierszy o tematyce obozowej. Zmuszany do pracy ponad siły, starał się podnosić innych na duchu, w związku z czym stał się wśród społeczności więziennej osobą niezwykle szanowaną. Mimo wszechogarniającego terroru i pracy ponad siły, stał się jednym z najaktywniejszych organizatorów obozowego życia kulturalnego, będącego jedną z form oporu przeciw terrorowi. Organizował potajemnie konkursy literackie, w których nagrody stanowiły porcje chleba, pisał i recytował wiersze. Do utworów napisanych przez niego w obozie muzykę dopisywali inni współwięźniowie, a najpopularniejszą z takich obozowych

pieśni patriotycznych stał się „Marsz Gusenowców”. Jego wiersze, przekazywane ustnie przez więźniów, recytowane i śpiewane, stanowiły głos sprzeciwu i budziły wiarę w przetrwanie.

Konstanty Ćwierk w obozowej katorżce przetrwał cztery lata, wycieńczony głodem i nadmierną pracą nabawił się gruźlicą i zachorował na serce. Mimo prób ratowania go przez współwięźniów, zmarł w sierpniu 1944 r. Tak odszedł polski pisarz i poeta, twórca niezwykle wszechstronny, autor ponad tysiąca wierszy, ośmiu dramatów, czterech powieści, niezliczonej liczby nowel, opowiadań, felietonów pisanych dla prasy i radia, dziennikarz i działacz społeczny. Miał czterdzieści dziewięć lat.



W służbie Polsce

Edward Józef Godlewski

Zamordowany w Mauthausen w maju 1945 r.

Edward Józef Godlewski, pułkownik kawalerii Wojska Polskiego II RP, komendant Okręgu Kraków Armii Krajowej. Urodził się w 1895 r. w Harasimowiczach, w województwie podlaskim, w ówczesnym zaborze rosyjskim, w polskiej rodzinie ziemiańskiej. Po wybuchu I wojny światowej, od 1 sierpnia 1914 został wcielony do armii rosyjskiej, walczył na froncie zachodnim, był trzykrotnie ranny. W 1917 r. wstąpił do I Polskiego Korpusu Wschodniego gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego, skupiającego żołnierzy narodowości polskiej służących w armii rosyjskiej. Po jego rozwiązaniu wstąpił do szwadronu polskiego, który później dał początek 14. pułkowi Ułanów Jazłowieckich.

W szeregach 14. pułku brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej 1919–1921 r. Za

bohaterstwo w walkach podczas kampanii 1920 r. odznaczony został Orderem Virtuti Militari.

W okresie międzywojennym służył w kawalerii Wojska Polskiego II RP, zdobywając kolejne awanse, aż do stopnia pułkownika. Podczas kampanii wrześniowej 1939 r. dowodził 14. pułkiem ułanów. Walczył nad Bzurą, w Puszczy Kampinoskiej, przebił się do Warszawy i uczestniczył w jej obronie. Po kapitulacji Warszawy Godlewski rozpoczął działalność konspiracyjną.

W czasie okupacji pełnił kolejno funkcje: Inspektora Głównego Komendy Głównej Związku Walki Zbrojnej (1940), komendanta Obszaru Białostockiego AK (1942–1944) i od maja 1944 r. komendanta Okręgu Kraków AK. Jego żona, Izabela Godlewska, kurierka Komendy Głównej AK Kraków, zastrzelona została przez gestapo w 1943 r.

1 września 1944, pomimo wcześniejszych planów operacyjnych akcji „Burza” i ogłoszenia stanu pełnej gotowości bojowej, Godlewski nie wydał rozkazu rozpoczęcia powstania w Krakowie. Rozkazał natomiast podległym sobie oddziałom ruszyć na pomoc Warszawie. Nie wszczynając powstania w Krakowie, Godlewski brał pod uwagę znacznie słabszą siłę militarną Armii Krajowej w Krakowie, niż w Warszawie, co rokowało znikome szanse powodzenia powstania i narażało ludność cywilną na poważne straty.

19 października 1944 r. został aresztowany w okolicach Kielc. Początkowo uwięziony w niemieckim więzieniu policyjnym w Krakowie, w grudniu 1944 wywieziony został do niemieckiego obozu koncentracyjnego Groß-Rosen. W lutym 1945 został przetransportowany do obozu koncentracyjnego Mauthausen, gdzie po trzech miesiącach umiera śmiercią głodową, w maju 1945 r., na kilka dni przed wyzwoleniem obozu.

Malarz i patriota

Stefan Filipkiewicz
Zamordowany w Mauthausen 23 sierpnia 1944 r.

Stefan Filipkiewicz, wybitny polski malarz. Urodził się w 1879 r. w Tarnowie. W latach 1900–1908 studiował w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Wyróżniał się talentem, w czasie studiów otrzymał dwukrotnie srebrny medal w konkursach akademickich. Jeszcze przed rozpoczęciem studiów malarskich, w 1899 r., mając 20 lat, zadebiutował wystawą w krakowskim Towarzystwie Przyjaciół



Źródło: Wikimedia Commons

Sztuk Pięknych, na którą składała się seria pejzaży tatrzańskich. W 1905 r. został członkiem wiedeńskiej „Secesji” i kilkakrotnie brał udział w wystawach w Wiedniu. Uczestniczył także w międzynarodowych wystawach, m.in. we Lwowie, w Berlinie, Monachium, Dreźnie, Rzymie, Londynie, Paryżu, Wenecji, a także w Stanach Zjednoczonych.

Zaliczany był do najwybitniejszych przedstawicieli szkoły pejzażystów prof. Jana Stanisławskiego, zastępował jako malarz krajobrazów Tatr i Podhala. Jako czołowy reprezentant nurtu malarstwa pejzażowego w okresie Młodej Polski został przyjęty do znanych stowarzyszeń artystycznych, oprócz wspomnianej wiedeńskiej „Secesji”, był członkiem warszawskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, a także krakowskiego Towarzystwa Artystów Polskich „Sztuka”. Jako malarz cieszył się uznaniem, a jego prace chętnie kupowano do kolekcji publicznych i prywatnych.

Oprócz malarstwa, Stefan Filipkiewicz uprawiał również grafikę, zajmował się projektowaniem plakatów, monet i medali. Podczas I wojny światowej, od 1914 r., służył w Legionach Polskich, za co odznaczony został Medalem Niepodległości. Tworzył na potrzeby Legionów Polskich, projektował wzory mundurów legionowych oraz tarcze, odznaki, medaliki i winiety wydawnictw legionowych.

Po wojnie powrócił do Krakowa, od 1930 r. wykładał na Akademii Sztuk Pięknych, gdzie otrzymał tytuł profesorski. Wolny czas poświęcał malarstwu, w 1933 r. został nagrodzony przez Polską Akademię Umiejętności za całokształt twórczości.

Podczas niemieckiej inwazji na Polskę w 1939 r. uciekł z rodziną na Węgry,

gdzie podjął działalność konspiracyjną. W imieniu rządu polskiego na uchodźstwie sprawował funkcję sekretarza Komitetu Obywatelskiego do Spraw Opieki nad Uchodźcami Polskimi w Budapeszcie. Komitet Obywatelski (pod przewodnictwem Henryka Sławika) organizował wsparcie dla internowanych wojskowych oraz uchodźców cywilnych, a także wysyłał polskich żołnierzy na Zachód. Komitet pomagał także Polakom pochodzenia żydowskiego, uratowano ponad 5 tysięcy zagrożonych Żydów, wydając fałszywe dokumenty, takie jak nowe dowody osobiste z polskimi nazwiskami i podrobione świadectwa chrztu.

Patriotyczną postawę Stefana Filipkiewicza, dla którego losy Polski były najważniejsze, obrazuje wydarzenie, którego świadkiem był węgierski polityk Joseph Antall: Filipkiewicz odwiedził pewien Niemiec, który wyjaśnił, że w związku z tym, że Hitler wysoko cenił artystę, ten zaoferować mu może pracownię w Wiedniu. Filipkiewicz zdecydowanie odrzucił tę ofertę.

Gdy w marcu 1944 r. Niemcy zajęli Węgry, Filipkiewicz wraz z całym kierownictwem Komitetu Obywatelskiego został aresztowany przez gestapo i wywieziony do obozu koncentracyjnego Mauthausen-Gusen. Tam został rozstrzelany 23 sierpnia 1944 r., wraz z innymi przywódcami Komitetu Obywatelskiego: Henrykiem Sławikiem, Andrzejem Pyszem, Edmundem Fietzem i Kazimierzem Gurgulem.



Źródło: Wikimedia Commons

Los krakowskiego uczonego Wiktor Ormicki
Zamordowany w Gusen 17 września 1941 r.

Wiktor Rudolf Ormicki, polski geograf i wykładowca. Urodził się w 1898 r. w Krakowie, w rodzinie urzędniczej. Studiował prawo i filozofię, a potem geografię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Po uzyskaniu doktoratu, habilitował się w 1930 r. w dziedzinie geografii gospodarczej, pracował naukowo w Instytucie Geograficznym Wydziału Filozoficznego UJ.

Wykładał na wielu uczelniach, m.in. Uniwersytecie Jagiellońskim, Wyższym Studium Handlowym w Krakowie, Wolnej Wszechnicy w Warszawie, Śląskim Instytucie Pedagogicznym w Katowicach, Uniwersytecie w Wilnie i we Lwowie. Ogłosił wiele prac naukowych, brał udział w zagranicznych kongresach. W 1939 r. został mianowany profesorem tytularnym. Ormicki był jednym z najważniejszych badaczy w kraju w zakresie geografii i demografii, uznawanym autorytetem, przez ówczesnych naukowców nazywany „ojcem polskiej geografii ludności”.

Wkrótce po wybuchu II wojny światowej, 6 listopada 1939 r., w ramach akcji oznaczonej kryptonimem „Akcja Specjalna Kraków” (Sonderaktion Krakau), 183 profesorów krakowskich uczelni zostało aresztowanych przez gestapo. Wśród nich był Ormicki.

Deportowany został do obozu koncentracyjnego Sachsenhausen, a potem przewieziony do Dachau. W związku z tym, że przyznał się do swojego żydowskiego pochodzenia, został przeniesiony w sierpniu 1940 r. do obozu koncentracyjnego Gusen I, gdzie na wstępie zapowiedziano mu, że żywy nie opuści tego obozu. Przydzielony został do kompanii karnej pracującej w kamieniołomie.

W obozie potajemnie prowadził pracę edukacyjną, wygłaszał więźniom pogadanki naukowe, opowiadał o geografii, ludności i gospodarce krajów, w których toczyły się działania wojenne. Otoczony był szacunkiem współwięźniów. W chwilach wolnych starał się pisać rozprawy na tematy, nad którymi pracował przed wojną. Prezentował je współwięźniom. Tuż przed śmiercią ukończył manuskrypt książki „O zagadnieniach zaludnienia kuli ziemskiej”. Po roku pobytu w KL Gusen skazany został na śmierć przez utopienie. Według świadków, wychodząc z baraku na egzekucję, wypowiedział do współwięźniów ostatnie słowa: *Wiem, po co mnie wołają do umywalni. Idę jednak ze spokojem. Idę w tym głębokim przeświadczeniu, że nie ginę na marne, że to wszystko dla*

Polski. W drodze „łaski” pozwolono mu wybrać między utopieniem a powieszeniem. Wybrał to drugie. Powieszony został 17 września 1941 r. Jego obozowe rękopisy potajemnie krążyły wśród więźniów, którzy, chcąc je przeczytać, musieli się zapisywać w kolejce. W obawie przed jedną z rewizji, manuskrypty zostały zniszczone.



Źródło: Wikimedia Commons

Ten, co „się w Europie nie zmieści”

Jan Sztwiertnia
Zamordowany w Gusen 29 sierpnia 1940 r.

Jan Sztwiertnia, polski pedagog, kompozytor. Urodził się w 1911 r. w Ustroniu w województwie śląskim. W latach 1925–1930 uczęszczał do Seminarium Nauczycielskiego w Cieszynie, a po jego ukończeniu podjął pracę jako nauczyciel w szkole w Wiśle.

Już w Seminarium Nauczycielskim wykazywał się dużym artystycznym talentem. W 1932 r., mając zaledwie 21 lat, napisał operę „Sałasznicy”, której muzyka nawiązywała do motywów ludowych z okolic Wisły, podobnie jak np. „Halka” Stanisława Moniuszki.

W latach 1937–1939 studiował w Konserwatorium Muzycznym w Katowicach. Równocześnie uczył w wiślańskiej szkole i prowadził na terenie Wisły działalność społeczną: prowadził chór kościelny, organizował chóry szkolne, reżyserował sztuki teatralne.

Jan Sztwiertnia należał do grona najbardziej utalentowanych studentów katowickiego konserwatorium w okresie międzywojennym. Po wakacjach 1939 r. miał wyjechać do Paryża na dalsze kształcenie muzyczne, na które otrzymał

stypendium rządowe. Uważano go za nadzieję polskiej muzyki klasycznej, jego profesorowie przepowiadali mu światową karierę, mówili o nim, że „się w Europie nie zmieści”. Jan Sztwiertnia tworzył zaledwie przez jedno dziesięciolecie. Pozostawił kilkadziesiąt utworów instrumentalnych i chóralskich, skomponował m.in. poemat symfoniczny „Śpiący rycerze w Czantorii” oraz „Stylizowane tańce śląskie” na orkiestrę symfoniczną.

Wyjazd do Paryża zapewne ocaliłby mu życie. Wybuch II wojny światowej brutalnie przerwał dobrze zapowiadającą się karierę muzyczną Jana Sztwiertni. Wisła została zajęta przez wojska niemieckie 2 września 1939 r. Tak jak cały Śląsk Cieszyński, została włączona do III Rzeszy. We wrześniu tego roku został pozbawiony posady nauczyciela. W kwietniu 1940 r. kompozytor został aresztowany przez gestapo na fali aresztowań cieszyńskiej inteligencji (Intelligenzaktion). Jan Sztwiertnia nie był aktywny politycznie, nie brał udziału w ruchu oporu, jedyną jego „winą” było to, że był utalentowanym, dobrze zapowiadającym się polskim kompozytorem.

Początkowo został uwięziony w obozie koncentracyjnym Dachau. Po miesiącu został przetransportowany do nowo otwartego obozu koncentracyjnego Gusen I i przydzielony do morderczej pracy w kamieniołomach. Przetrwiał niespełna trzy miesiące. Zmarł z wycieńczenia 29 sierpnia 1940 r., mając zaledwie 29 lat.

W maju 2021 r. przejdziemy trasą Marszu Pamięci Mauthausen-Gusen, a podczas przemarszu nieś będziemy portrety między innymi: Józefa Cebuli, Konstantego Ćwierka, Edwarda Józefa Godlewskiego, Stefana Filipkiewicza, Wiktor Ormickiego i Jana Sztwiertni.

W ten symboliczny sposób pokażemy, że za każdym obozowym numerem kryje się człowiek, któremu odebrano prawo do życia. Zabierzemy ich ze sobą na ten Marsz, oddając hołd ich pamięci i pamięci wszystkich więźniów zamordowanych w KL Gusen i w KL Mauthausen.



Śp. Mieczysław hrabia Ledóchowski z Małżonką, wnukami i prawnukami

Rodzina Ledóchowskich

W kolejnej części cyklu „Polskie rody w Austrii”, prezentujemy przedstawicieli kolejnych pokoleń rodziny Ledóchowskich: wspominamy seniora rodu, Mieczysława Ledóchowskiego, rozmawiamy z jego żoną Haliną Ledóchowską z domu Korwin-Kossakowską, a także z ich synem Lechem Ledóchowskim oraz wnukiem Janem Ledóchowskim.

Anita Sochacka

Protoplastą rodu Ledóchowskich był Nestor, którego za zasługi wyświadczone ojczyźnie wielki książę litewski Kazimierz Jagiellończyk obdarzył 1442 r. wsią Ledóchowem w okolicy Krzemieńca na Wołyniu. Blisko sześć wieków później rozmawiamy w Wiedniu z trzema pokoleniami rodu, którego jedna z gałęzi po II wojnie światowej obrała za swoją siedzibę właśnie stolicę nad Dunajem.

Mieczysław Ledóchowski (1920-2017)

– Jako dziewięciokrotny prdziadek mogę zaświadczyć, że charakter człowieka kształtuje się, gdy jest on małym dzieckiem, a wartości, jakie mu przyświecają w życiu dorosłym, wynikają bezpośrednio z okresu wczesnego dzieciństwa. To, jacy jesteśmy, wynosimy z domu rodzinnego. Mój dom był bardzo ciepły, dobry, miły. W 1920 roku, kiedy się urodziłem, był mój ojciec (hr. Antoni 1895-1972 – przyp. red.) jednym z założycieli Szkoły Morskiej, już w wolnej Polsce. W czasie I wojny światowej był oficerem Austriackiej Marynarki Wojennej. Moja mama (baronówna Matylda Warnesius – przyp. red.) była Austriaczką, ale też wielką polską patriotką, mówiła świetnie po polsku. – tłumaczył Mieczysław Ledóchowski w jednym z wywiadów dla „Poloniki” fundamenty swego charakteru. Te właśnie wartości niczym motywy przewodni będą się pojawiać w wypowiedziach jego potomków.

Komunistyczne porządki w powojennej Polsce nie pozwoliły mu rozwinąć skrzydeł – jako syn przedwojennego współzałożyciela Państwowej Szkoły Morskiej w Tczewie, nie mógł liczyć na perspektywę naukowej czy zawodowej kariery. Ideologicznie nie pasował do struktur PRL, a nielojalnych obywateli, potomków przedwojennych elit, mających rodzinne związki z zagranicą, system nie chciał mieć w swoich szeregach.

Świadom swego pochodzenia i tożsamości Mieczysław Ledóchowski podjął w końcu lat 50. decyzję o wyjeździe z Polski i tu, w Austrii próbował tę polskość dla całej swojej rodziny na nowo zdefiniować: – Ja i żona jesteśmy Polakami, bo się tam urodziliśmy, tam spędziliśmy młodość, wojnę, czasy komunistyczne. Natomiast od lat siedemdziesiątych jesteśmy obywatelami austriackimi. Liczy się jednak poczucie przynależności. Przede wszystkim jesteśmy Europejczykami. Z poczuciem polskości u kolejnych pokoleń, które nie



Alexandra, żona Jana, z Haliną Ledóchowską

mieszkają w Polsce jest tak, że z czasem trochę rozchodzi się po kościach, ale to jest naturalne. Dzieci, które są w Polsce czują się Polakami. Gdy przyjeżdżają do Austrii, to też czują się, jak u siebie w domu. Natomiast wnuki, które są w Austrii, i ich dzieci czują się Austriakami, a Polska jest ich najbliższym krewnym. I to jest normalna rzecz. Człowiek jest tym, gdzie się urodził i wychował – tak wypowiadał się w rozmowie z „Poloniką”.

Dziś rozmawiamy z jego synem, Lechem Ledóchowskim.

Lech Ledóchowski (ur. 1955 r.)

Lech Ledóchowski wyjechał z Polski jako niespełna 7-latek. Dołączył do swego ojca, który od kilku miesięcy przygotowywał w Wiedniu nowe gniazdo dla rodziny.

Lech tak wspomina swe początki w Austrii: – Do Wiednia przyjechałem z moją mamą w 1963 r. po ukończeniu pierwszej klasy szkoły podstawowej w Sopocie. Edukację rozpocząłem od prowadzonej przez siostry katolickie szkoły z internatem w Schiltern bei Langenlois (NÖ). Naturalnie nie rozumiałem ani jednego słowa po niemiecku. I może właśnie dlatego... błyskawicznie się go nauczyłem. Pamiętam, że jako dziecko chodziłem z rodzicami do polonijnej organizacji „Strzecha”, chętnie grałem tam z polskimi rówieśnikami w ping-ponga. Studia wybrałem na kierunku informatyka gospodarcza, czyli łączącym ekonomię

z informatyką. W młodości obracałem się już całkowicie w środowisku austriackim, choć w domu rozmawialiśmy po polsku. Mama doskonale posługuje się językiem niemieckim, pochodzi z rodziny o korzeniach austriackich. Babcią mamy to urodzona w Wiedniu Austriaczka.

Język polski był w domu Ledóchowskich niczym powietrze, którym się oddycha: – Mama wyjechała z Polski w wieku 40 lat, zatem jej polszczyzna jest najwyższej próby. Do dziś u niej w domu ogląda się polską telewizję. Wakacje spędzałem często u brata Henryka w Sopocie. W pamięci zostały mi wielokrotne wizyty w Lipnicy Murowanej, tak ważnej dla naszej rodziny podczas wojny.

To właśnie w Lipnicy Murowanej, majątku rodzinnym, Ledóchowsky spędzili lata okupacji. – Kolejne pokolenie rodziny Ledóchowskich, czyli moje dzieci: Jan, Katharina i Felix świetnie mówią po polsku, z czego – nie ukrywam – jestem dumny. Katharina i Jan spędzili jakiś czas w Krakowie, na studiach – podkreśla Lech Ledóchowski.

Tym samym, co język, były wartości wyznawane i praktykowane w domu: – Wartości, jakie przekazywali nam rodzice, przechodziły niejako sposobem naturalnym z pokolenia na pokolenie. Trudno mi nawet o tym mówić, jak to się odbywało, gdyż był to proces naturalny. W niezauważalny sposób nasiąkaliśmy umiłowaniem tradycji, szacunkiem do historii rodziny, otwartym światopoglądem i dążeniem do zdobycia dobrego wykształcenia – wyjaśnia.



Śp. Mieczysław hrabia Ledóchowski z prawnuczką Stanisławą i prawnukiem Stanisławem

Owo poszanowanie rodzinnej historii dało asumpt do działalności pamiątkarskiej ojca, Mieczysława, tak gorliwie wspieranej przez Lecha: – *Gdy ojciec miał 75 lat, namówiłem go na spisywanie historii rodu. Jak przystało na informatyka, postawiłem mu na biurku komputer. Na drugi dzień okazało się, że jego miejsce zajęła maszyna do pisania, a komputer znalazł się pod biurkiem. Zmieniłem ustawienie i nazajutrz po przyjęciu z pracy znów widzę maszynę na biurku, a komputer pod nim. Ponownie przemeblowałem pokój. Jeszcze przez dwa tygodnie ojciec spierał się z komputerem, by nagle z dnia na dzień zacząć na nim pisać. Tak, ojciec miał głowę otwartą na techniczne nowinki.*

Dzięki temu dziś możemy się zapoznać z dziejami rodu, spisany przez Mieczysława Ledóchowskiego w książce „...aby pozostał nasz ślad”.

Jan Ledóchowski (ur. 1982)

Śladem wytyczonym przez rodzinę podąża w swym życiu przedstawiciel kolej-

nego pokolenia rodziny Ledóchowskich: Jan, syn Lecha i Ulrike Reisetbauer.

Ciepło mówi o swych polskich dziadkach: – *Prawie każdy, kto poznał mojego dziadka, Mieczysława, był nim oczarowany. Niepospolity charakter i wyjątkowa godność cechowały go nawet w trudnych czasach, gdy obce reżimy odbierające bezprawnie własność prywatną, chciały odebrać też wiarę, duszę, wolność. Urodzony w 1920 r. dziadek pozostał dżentelmenem, nawet jako kontroler wyładunków, targaż czy taksówkarz. Kiedy mówił o swoim życiu, robił to bez goryczy i nienawiści: nie opłakiwał dni dawnych, strat materialnych, niespełnionych nadziei, ale był niezmiernie wdzięczny Bogu za swoją rodzinę i dobrą, które udało mu się zgromadzić w Wiedniu. Zewnętrzny obserwator mógłby przy tym łatwo przeoczyć osobę mojej ukochanej babci Haliny, która żyjąc obok dziadka, dzięki swojej silnej osobowości, trzymała rodzinę razem nawet w najtrudniejszych czasach. Spędziłem dużo czasu z dziadkami. Kilka razy byłem z babcią w Lipnicy Murowanej, naszej rodzinnej ostoi w czasie zawieruchy wojennej. Chodziłem z nią*

tam na spacer, w lesie zbieraliśmy jagody i słuchając jej, umacniałem swe rozumienie polskości. Kiedy po studiach zastanawiałem się nad wstąpieniem do zakonu cystersów w Heiligenkreuz, mój dziadek zabrał mnie na wielką wycieczkę po Polsce, aby przedstawić mi najlepiej wykształconym księżom i biskupom, których znał. Zjedliśmy obiad z kardynałem Henrykiem Gulbinowiczem i arcybiskupem Tadeuszem Gocłowskim, dużo rozmawialiśmy o Bogu i świecie. Dziadek zresztą zawsze myślał o Bogu i religii. Kiedy rozmawialiśmy po raz ostatni powiedział mi, jak bardzo jest ciekaw nieba. Ale dziadek był zawsze pełen energii i radości życia. Jego ostatni dzień... Nieoczekiwanie przewrócił się podczas gry w brydża, a kiedy mój ojciec zabrał go do szpitala, dziadek poprosił go, by ten ukończył grę za niego, ponieważ mój ojciec miał dobrą rękę w kartach. Następnego dnia dziadek odszedł.

Wraz ze śmiercią Mieczysława Ledóchowskiego (5 marca 2017 r.), mimo że była ona dla jego bliskich zaskoczeniem, nie zakończył się świat – on wciąż istniał według tych samych zasad i reguł, jakie

znane były w rodzie Ledóchowskich od stuleci. Jan definiuje tę ciągłość historyczną w następujący sposób: – *Ogromną wartością dla mnie jest to, że moje rodzeństwo i ja dorastaliśmy w bardzo kochającej rodzinie o silnych fundamentach. O wartościach tak naprawdę nie mówiono, tymi wartościami się na co dzień żyło: skupienie na związku z Kościołem katolickim, spójność rodziny, szacunek dla wykształcenia. Dorastałem świadom naszej historii i jej kontynuacji, ze ścian spoglądały na mnie pokolenia sportretowanych wcześniej członków naszej rodziny.*

Jan Ledóchowski, prawnik z wykształcenia, z zamiłowania historyk i genealog, dalej pisze historię swej rodziny. W znaczeniu dosłownym – prowadząc bloga rodzinnego pod adresem ledochowski.eu oraz angażując się w działalność polityczno-społeczną: – *W historii naszej rodziny przewija się wątek umiłowania wolności i lojalność wobec ojczyzny i Kościoła. Nie sposób pominąć postaci takich, jak choćby kasztelan Stefan Ledóchowski, wpływowy senator Rzeczypospolitej Polskiej i Litwy XVII w., marszałek Stanisław Ledóchowski, obrońca wolności stojący w opozycji do absolutyzmu królewskiego w XVIII-wiecznej Polsce, kardynał Mieczysław Ledóchowski, obrońca Kościoła i kultury polskiej wobec germanizacji w XIX w., św. Urszula Ledóchowska, wielka patronka wiary i polskiej kultury na emigracji w XX w. czy jej siostra, błogosławiona Maria Teresa Ledóchowska, „Matka Afryki”, promotorka wyzwolenia niewolników. Herb naszej rodziny „Avorum respice mores” („Szczuj zwyczaje swoich przodków”) nie oznacza li tylko poddania wobec tradycji, ale jest zaproszeniem do przekazywania doświadczeń i cnót. Wielkim osiągnięciem moich dziadków jest przeciwstawienie niszczeniu polskiej kultury przez nazistów czy komunistów. Dziedzictwo rodu Ledóchowskich nie polega na gromadzeniu dóbr materialnych, posiadłościach i zamkach, ale na świadomości własnej tożsamości. Dla mnie tożsamość ta oznacza przyjęcie odpowiedzialności społecznej, obronę praw człowieka, godności i wolności, obronę Kościoła i pracę na rzecz ubogich i pozbawionych praw obywatelskich. Kandyduję w zbliżających się wyborach do rady miejskiej w Wiedniu właśnie w tej tradycji. Widzę dla siebie miejsce w życiu politycznym Austrii, pełnym napięcia między przekonaniem tradycyjnymi, a przeciwnym im nurtem mainstreamu.*

Człowieka o takich poglądach uformowały też dalekie podróże: – *Podróżowaliśmy z dziećmi po całym świecie, po to, by pokazać im odmienną, różnorodność warunków życia w poszczególnych krajach. Zawsze jednak ważne było dla mnie skupianie się na tym, co nas z innymi łączy – wyjaśnia Lech Ledóchowski.*

Stąd takie, a nie inne rozumienie tożsamości narodowej, poczucia wspólnoty z wieloma grupami etnicznymi, językowymi. Podejście to jest bliskie członkom rodów o długiej tradycji historycznej, w żyłach których płynie mieszanka krwi. Oni to, zdaje się, odkryli jeden z sekretów ludzkości – że w istocie jesteśmy jednością. Na pytanie „jak określić swoją tożsamość narodową” odpowiada Jan: – *Cieszę się, że żyję w czasach, gdy można mieć różnorakie tożsamości, które nie są ze sobą sprzeczne. Jestem Austriakiem, ale także Polakiem i oczywiście Europejczykiem. Jestem dumny z naszej kultury europejskiej i wkładu, jakie wniosły do niej i Austrii, i Polska.*

Wtórę mu jego ojciec, Lech Ledóchowski: – *Liliana Niesielska, tłumaczka, pięknie powiedziała niegdyś, że w języku niemieckim są dwa różne słowa wiążące się z poczuciem tożsamości: Heimat – gdzie się zamieszkuje i Mutterland – do której czuje się miłość od dziecka. Tak właśnie jest ze mną: czuję się Europejczykiem, mieszkam w Austrii, mam polskie korzenie, nie lubię mówienia o nacjonalizmach,*

odróżniania ludzi od siebie. Ledóchowscy mieszkają w Austrii, we Francji, Wielkiej Brytanii, a nawet w Afryce Południowej. A sam ród pochodzi z obecnej Ukrainy. Moja żona, rodowita Austriaczka, wypieka na święta polskie przysmaki, niezrównany jest jej mazurek, ciasto przecież w Austrii nieznane.

Halina Ledóchowska (ur. 1924)

Wymowną konkluzję naszego spotkania z rodziną Ledóchowskich formułuje nestorka rodu, licząca dziś 95 lat Halina Ledóchowska z domu Korwin-Kossakowska: – *Najcenniejszy jest pokój, to, by się nie spierać zarówno w rodzinie, jak i na poziomie państwa czy narodów. Pójście drogą odradzających i zatracających się nacjonalizmów nie jest właściwym kierunkiem. Zgoda jest tym, co buduje, a jedność leży u jej podstaw.*

Takich życzeń na przyszłość potrzebuje dziś pokolenie bawiących się w piaskownicy latorośli Jana Ledóchowskiego.

Troska o dobro rodziny, wierność tradycji oraz dbałość o właściwie wychowanie młodego pokolenia to swoiste znaki szczególne tego rodu, który już od wieków zapisywał się na kartach historii Polski i Europy, podejmując wyzwania, jakie stawiają mu zmieniające się okoliczności historyczne, polityczne i społeczne.



Prywatna audyencja u papieża Franciszka

Pokrewieństwo DUSZ



fol. archiwum prywatne

Wernisaż wystawy: autorka z Elisabeth Leopold (z prawej),
współzałożycielką i kuratorką Muzeum Leopoldów

Po raz pierwszy Wiedeńskie Muzeum Leopoldów (Leopold Museum) na jednej wystawie przedstawia Friedensreicha Hundertwassera i Egon Schielego. Co jednak łączy tych dwóch wyjątkowych artystów, którzy nigdy nie mieli okazji poznać się osobiście?

Ewa Steinhardt

Friedensreich Hundertwasser (1928–2000) kształtował malarstwo i architekturę XX wieku daleko poza granicami Austrii. Mało znana jest jego fascynacja twórczością Egon Schielego (1890–1918). Pokrewieństwo tych dwóch artystycznych dusz przybliży wystawa w Muzeum Leopoldów zatytułowana „Hundertwasser – Schiele. Imagine Tomorrow”. Obejmuje ona aż 170 eksponatów i jest niezwykłym spotkaniem dwóch wybitnych Austriaków.

Schiele jako duchowy ojciec Hundertwassera

Poetycki tekst Hundertwassera pt. „Kocham Schielego” z 1951 r. pokazuje, jak wielki wpływ miał Schiele na artystę: „Czę-

sto śnię jak Schiele, mój ojciec, o czerwonych kwiatach, ptakach i latających rybach i ogrodach w aksamitnej i szmaragdowej zieleni oraz płaczących ludziach, którzy przemierzają czerwono-żółtą przestrzeń i morski błękit”.

Schiele był „ojcem” twórczości Hundertwassera, młodego artysty z Wiednia, a jego dokonania malarskie stały się jego „religią”. Podczas podróży w 1949 roku przez Włochy i Afrykę Północną, po której przeprowadza się do Paryża, pisze wiele listów do matki Schielego. W te same korespondencje przeobraża się z młodego, szukającego swojej artystycznej drogi studenta, w dojrzałego i samodzielnego twórcę. W Paryżu zadziwia go nieznajomość nazwiska

Schielego, w związku z czym postanawia rozesłać publikacje o malarzu do swoich francuskich znajomych. Podziw dla jego sztuki towarzyszy mu całe życie. Zarówno mieszkanie Hundertwassera w Wenecji, jak i Nowej Zelandii wypełnione było reprodukcjami mistrza. Jego pracownice malarskie zdobyły wyznania „Schiele powinien żyć, opowiedziałbym mu o moich wspaniałych podróżach”. Pokrewieństwo dwóch twórców ma szczególne znaczenie w sztuce XX wieku. Opiera się na powiązaniach formy, wspólnych pomysłach malarskich i rozumieniu przedstawianego tematu.

Hundertwasser jako młody artysta żyjący w Wiedniu styka się oczywiście w wielu punktach miasta ze spuścizną swojego mentora i idola, którego tak cenił. Od kolegi po fachu przejmuje w swojej sztuce elementy secesji, organiczne formy oraz urzekające kolory. „Linia prosta prowadzi do upadku ludzkości. Spirala jest symbolem życia i śmierci” – powiedział Hundertwasser. W Akademii Sztuk Pięknych studiował zaledwie parę miesięcy, wołał sam skupić się nad sztuką modernistyczną, nad pracami Schielego, które stały się najważniejszymi



Friedensreich Hundertwasser. Selbstbildnis, 1951

dla niego punktami odniesienia w działalności artystycznej. Swojego duchowego ojca odnalazł w jego pracach, mapach graficznych, artykułach ówczesnej prasy, opisach w książkach, wspomnieniach. Mił Schielego jako grafika i malarza żył razem z nim. Obydwaj inscenizowali swoją osobowość w autoportretach, ich linie były niespokojne, kolory żywe, fascynowało ich miasto i architektura. Byli myślicielami i prorokami w sztuce. Łączył ich Wiedeń.

Hundertwasser jako wizjoner i pionier ekologii

Friedensreich Hundertwasser, właściwie Stowasser, był z pochodzenia Żydem. Urodził się w Wiedniu w 1928 roku. Wychowywany był przez matkę, która po aneksji Austrii zapisała syna do Hitlerjugend. Tym przemysłowym krokiem uratowała siebie i syna. Po porzuceniu nauki w Akademii Sztuk Pięknych zaczyna się jego indywidualna praca nad kalejdoskopowymi krajobrazami z charakterystycznymi dla jego sztuki spiralnymi liniami. Początkowo dzieła przypominają Gustawa Klimta,

trochę też Paula Klee, ciesząc się olbrzymim wzięciem. Artysta rozprawia się krytycznie z pozbawionym fantazji modernizmem i zainteresowaniem światem techniki. Znany z doskonałej autoreklamy, przez wiedeńców okrzyknięty jako zatwardziały hipis, spotykający się z zawiścią środowiska malarskiego, popada w swojej sztuce w architektoniczny eklektyzm.

Myśleniu jego towarzyszy natura. I tak będąc wierny swoim wyobrażeniom, tworzy domy jak z bajki, gdzie ludzie, zwierzęta, drzewa, rośliny współegzystują. Nie szklane pudła, kamień czy marmur, stalowe płyty, ale jakby egzotyczne pałacyki, gdzie na dachach zamieszkują oleandry, tuje, gdzie nikną kominy i anteny telewizyjne. Swoimi wizjonerskimi projektami, które służyły ekologii, zachwycał cały świat. Często zwiedzający domy artysty w trzeciej dzielnicy Wiednia pytają, czy to są jeszcze domy, czy może filmowe plany? A może tylko jakaś dekoracja? A tam przecież żyją normalni wiedeńscy, których domy-ikony stały się muzeami. Ale to nie są normalne domy. Zafascynowany ekologią Hundertwasser

używa sprzyjających zdrowiu materiałów do budowy: miękkie materiały, mchy, utwardzoną ziemię. Linie ścian są faliste albo co najmniej niespokojne, podwórka zdobią czy zraszają fontanny, dachy są ogrodami, fasady rażąco kolorowe. Wszystko jest inne, ale dlatego sprzyjające naszemu zdrowiu. Domy wyglądają inaczej o każdej porze roku, gdyż pnąca się po nich roślinność też przybiera różne barwy.

Linia prosta w architekturze Hundertwassera jest używana tylko tam, gdzie reguły budowlane tego wymagają. Architektura tak realizowana spotyka się z krytyką. Określana jest jako szarlataneria, lekceważąca kanony budownictwa. Jednak Hundertwasser nie poprzestaje na domach mieszkalnych, a jego spalarnie śmieci czy magazyny upiększają swoim jakby kosmicznym pięknem duże miasta. Elewacje jego domów to krajobrazy, lasy, morza. Poprzez swoją fantazyjną dekoracyjność stworzył jakby inną, współczesną secesję.

Ta barwność i jakby „klimtowa” dekoracyjność przewija się w jego malarstwie. Spiralne, albo niekończące się linie są świadectwem triumfu życia. Stwierdzenie architekta, że natura znika z miasta, jest bardzo aktualne. Trzeba przywrócić miastu zieleń, barwność i jakość życia.

Dialog artystów

Koncepcja wystawy „Hundertwasser – Schiele. Imagine Tomorrow” oparta jest na dialogu dwóch artystów, dialogu, który



Egon Schiele. Selbstbildnis mit hochgezogener nackter. Schulter, 1912

Wielcy nieznani Polacy, którzy zmienili świat, cz. X

– *Pierwszym warunkiem sprostania zmianom jest wyzbycie się lęku przed nimi* – pisał Florian Znaniecki, wybitny socjolog, który badając życie emigracji polskiej zrewolucjonizował socjologię.

Tomasz Jacek Lis

Florian Znaniecki (1882–1958) to polski naukowiec, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli światowej socjologii w pierwszej połowie XX w., którego postać uległa zapomnieniu. Był autorem kilkudziesięciu pionierskich monografii i krzewicielem socjologii w Polsce. Przez kilka lat zasiadał na czele Amerykańskiego Towarzystwa Socjologicznego.

Początkowo nic jednak nie wskazywało, że o Znanieckim będzie się mówiło jako o najwybitniejszym polskim socjologu, wszak kształcił się na filozofa i nawet wyjeżdżając do USA w 1914 r., gdzie miał rozpocząć pracę nad dziełem swojego życia, *The Polish Peasant in Europe and America*, nie sądził, że wpisze się do annałów akurat tej konkretnej dyscypliny.

Socjologia była wówczas stosunkowo młodą nauką, która co prawda zdobywała sobie coraz większe uznanie na świecie, jednak w Europie dopiero stawiała swoje pierwsze kroki. Inaczej było w USA. Kraj ten posiadał zarówno fundusze, jak i przede wszystkim „otwarte głowy”, skłonne do innowacji. Jak się okazało, było to idealne miejsce dla Znanieckiego.

Okres młodości

Znaniecki urodził się w mroźny styczniowy dzień 1882 r. w rodzinie szlacheckiej Znanieckich herbu Krzywda. Była to rodzina majątna, którą stać było na to, by zarówno małemu Florianowi, jak i jego siostrze zapewnić domową naukę, opartą w pierwszym rzędzie na poznaniu języków obcych, co będzie istotne w jego międzynarodowej karierze. Wzorem innych chłopców „z dobrych domów”, spod skrzydeł guwernantek trafił do gimnazjum, w pierwszym w Częstochowie, a następnie w Warszawie, gdzie zdał egzamin dojrzałości.

W 1903 r., zanim na dobre rozpoczął studia na Cesarskim Uniwersytecie Warszawskim, został relegowany za poparcie studenckiego protestu. Rok później postanowił, wzorem tysięcy rodaków, spróbować szczęścia na emigracji. Odebrane w dzieciństwie lekcje z języków obcych okazały się być w tym wielce pomocne. Wyjechał do Szwajcarii, potem na krótko do Francji, gdzie przez jakiś czas służył w Legii Cudzoziemskiej. Nadszarpnąwszy jednak zdrowie w 1905 r. wraca do Genewy, gdzie zapisuje się na tamtejszy uniwersytet. Po dwóch latach przeniósł się do Zurychu, gdzie oprócz studiowania rozpoczął w pobliskim Rapperswilu pracę w tamtejszym Muzeum Narodowym Polskim. Była to zagraniczna oaza polskich patriotów, wybitnych postaci życia narodowego, które bardzo wyraźnie wpłynęły na młodego Floriana. W 1907 r. ożenił się z koleżanką ze studiów Emilią Szwejkowską, nieco dojrzałą i zrezygnowałą z bujnego życia towarzyskiego, jakie wcześniej prowadził.

Początki naukowej drogi

Ustatkowanie oznaczało nie tylko pójście do pracy, ale również powzięcie konkretnych działań w celu „stania się kimś wielkim”, czemu hołdował, jednak dotychczas bez większych sukcesów. Kluczem do tego stać się miała filozofia. Wkrótce jednak rodzina się powiększyła, w efekcie czego młodzi podjęli decyzję, że Emilia wróci do rodziców, zaś Florian bez balastu w postaci płaczącego noworodka poświęci się całkowicie nauce.

Wielki człowiek powinien jednak obracać się w kręgu wielkich ludzi, dlatego Znaniecki zmienił po wyjeździe żony Szwajcarię na Francję, gdzie mógł słuchać wykładów najwybitniejszych ówczesnych filozofów: Emilę Durkheima, Lucien Lévy-

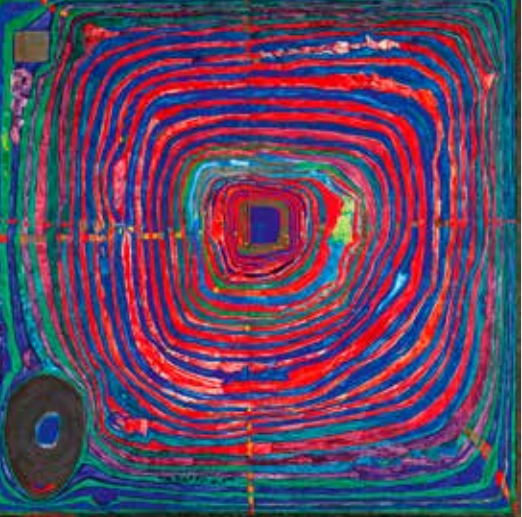


Florian Znaniecki

-Bruhlema, czy przede wszystkim Hénri Bergsona, którego dzieła przetłumaczył na język polski.

Na paryskiej Sorbonie planował obronę pracy doktorskiej, jednak śmierć promotora, a także kłopoty finansowe spowodowały, że powziął decyzję, by wrócić na polskie ziemie. Na Uniwersytecie Jagiellońskim obronił doktorat, wkrótce potem otrzymał z Warszawy propozycję zatrudnienia w „Towarzystwie Opieki nad Wychodźcami”.

W Warszawie Znaniecki pracował w Towarzystwie i prowadził czasopismo



Friedensreich Hundertwasser. *Le grand chemin*, 1955



Egon Schiele. *Der Häuserbogen II („Inselstadt“)*, 1915



Friedensreich Hundertwasser. *Almhütten auf grünem Platz*, 1951

szego Hundertwassera. Nikt po śmierci Klimta i Schielego nie odważył się pójść podobną drogą oprócz Hundertwassera. Niebezpieczny trop, który okazał się udany, zyskując nową oryginalność, chociaż ta niby powierzchowna ornamentyka spotykała się z ironią. Bardzo indywidualny język twórczy Hundertwassera długo nie był porównywalny do wiedeńskiego modernizmu.

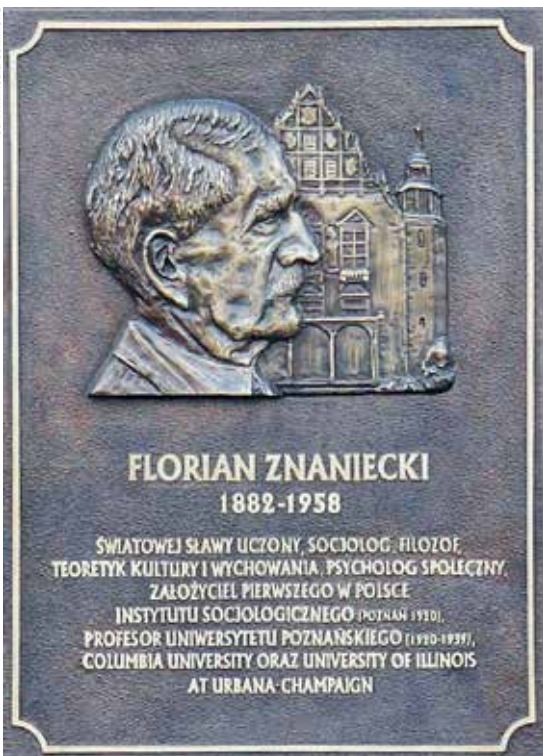
Ciekawe są wspólne wątki biografii dwóch twórców. Obydwaj tracą wcześniej swoich ojców, rozwijając bardzo mocny stosunek do matek, co jednak nie obyło się bez konfliktów. Obydwaj bardzo wcześnie zaczynają rysować swoje otoczenie, przerywają naukę w Akademii Sztuk Pięknych. W wieku 20 lat rysują serię swoich autoportretów. Fascynują ich podróże wodne, Schiele zakochuje się w Trieście, Hundertwasser kocha Wenecję. Zachwyca ich tworzenie w słowie, ogłaszają swoje manifesty artystyczne, piszą o historii sztuki, architekturze i ekologii.

Nowoczesność i otwartość stylu życia ociera się o konflikty z prawem. Schiele maluje w odważnych pozach nieletnie dzieci, Hundertwasser nago prezentuje swoje obrazoburcze przemówienia dotyczące sztuki. Powierzchnia malowanych płócien u obydwu jest matowa. Hundertwasser pisze: „... dla mnie złotem jest wszystko, co jest matowe. Nienawidzę wszystkiego, co błyszczące”, choć ciekawe, że sam miesza farby, używając starych technik malarskich, w jego odczuciu – ekologicznych. Linie używane w obrazach Hundertwassera są nanoszone spontanicznie i nie mają nic wspólnego z geometrią, są symbolem organicznego życia i temperamentu artysty. Schiele w przeciwieństwie do Hundertwassera układa w przemyślny sposób swoje kompozycje, najpierw szkicuje, później nanosi elementy, aby układały się one w harmoniczny sposób. Ale różnice w podejściu do tematu nie dzielą artystów. Życie Hundertwassera było nierozłączne z jego sztuką. Artyście ciągle towarzyszy odpowiedzialność za harmonię w otaczającym nas świecie. Jego twórczość miała służyć wizji lepszego świata.

Zapraszamy na wystawę, na której Hundertwasser spotyka Schielego, mimo że ci artystycznie i intelektualnie pokrewni mistrzowie nigdy nie mieli okazji spotkać się osobiście.

„Hundertwasser – Schiele.
Imagine Tomorrow”
Wystawa czynna
od 21.02. do 31.08.2020
Leopold Museum,
Museumsplatz 1, 1070 Wien

„Wychodźca Polski”. W tym samym czasie ogłosił również szereg rozpraw z dziedziny filozofii, które pozwoliły mu zyskać renomę na krajowym rynku. Był uważany za najlepszego w kraju specjalistę ds. wychodźstwa, co dodatkowo wpływało na jego popularność. Wszak problem emigracji był wtedy „na czasie” w każdym zaborze, wszyscy się nim interesowali, od polityków poczynawszy, poprzez zatroskanych duchownych, na naukowcach kończąc.



Poznań, Collegium Znanieckiego – tablica pamiątkowa

Do tej ostatniej grupy należał Williams Thomas, amerykański socjolog z Chicago, który w 1913 r. przyjechał do „Kongresówki”, by znaleźć materiały do swojej pracy o polskich chłopach emigrujących do USA. Poznał wówczas Znanieckiego, którego wkrótce zaprosił do USA, by ten pomógł mu w pracy. Polegać miała ona na opracowywaniu dokumentów.

Wyjazd do Ameryki

Niespełna rok później, na krótko przed wybuchem I wojny światowej, na amerykańskim kontynencie zameldował się Znaniecki wraz z żoną. Przyłączył się do Stanów jako filozof, miał tam pracować rok, może dwa, i wrócić do Warszawy. Został na prawie 6 lat, zaś gdy wracał, był już pełnoprawnym socjologiem, jednym z pionierów tej nauki w odrodzonej Rzeczypospolitej. Filozofa Znanieckiego na

socjologa Znanieckiego „przerobił” właśnie Thomas. Na czym polegała innowacyjność ich badań, która spowodowała, że obydwaj przeszli do annałów światowej nauki?

Otóż metoda dokumentów osobistych polegała na analizie listów, pamiętników, dzienników, które następnie wykorzystywano jako materiały służące wykazaniu procesów społecznych. Dziś wydaje się to mało odkrywcze, jednak przed 100 laty było to swoiste trzęsienie ziemi, którego epicentrum stanowiła socjologia, zaś wstrząsy wtórne dało się odczuć w psychologii, antropologii, poniekąd także w historii.

Początkowo Thomas i Znaniecki wydali dwa tomy swojej monumentalnej pracy, która dotyczyła procesów, jakie zaszły wśród polskiej diaspory przybywającej „za chlebem” do Ameryki. Chodziło m.in. o wpływ emigracji na rozpad ich dotychczasowych więzi rodzinnych i jak stali się oni „amerykańskimi Polakami”, specyficzną grupą, charakteryzującą się podwójnym poczuciem tożsamości narodowej. Badania w tym kierunku były pionierskie, nie tylko ze względu na metodę, ale i przedmiot, gdyż nikt wcześniej nie zgłębił tego tematu na tak szeroką skalę. Zanim jednak na dobre rozpoczęło kolportaż,

Thomas został wciągnięty w obyczajową aferę, która spowodowała jego usunięcie z Chicago, a co za tym idzie wstrzymanie dalszego wydania *The Polish Peasant in Europe and America*. Dopiero komercyjne wydawnictwo z Nowego Jorku zdecydowało się wziąć na siebie obowiązki dodruku pierwszych dwóch tomów, jak również wydania kolejnych, których przygotowaniem zajął się w głównej mierze Znaniecki.

Początkowo książka została wyłącznie odnotowana w specjalistycznej literaturze, jednak wkrótce wzrosło zainteresowanie zarówno problemem emigracji, jak i przede wszystkim nowatorską metodą Znanieckiego i Thomasa. Do 1939 r. publikacja doczekała się 30 recenzji w języku angielskim i dziesięciu w innych językach!

Jednak Znanieckiemu nie było dane napawać się sukcesem, gdyż nie otrzymał żadnej poważnej propozycji ze

strony jakiegokolwiek amerykańskiego uniwersytetu, zdecydował się opuścić USA i powrócić do nowo odrodzonej Rzeczypospolitej. Tym razem towarzyszką podróży nie była już żona Emilia, która zmarła na amerykańskiej ziemi w 1915 r., a pochodząca z bogatej rodziny o irlandzkich korzeniach prawniczka Eileen Markley, która własną karierę w kancelarii poświęciła dla polskiego męża.

Powrót do Polski

Nowo powstały Uniwersytet Adama Mickiewicza w Poznaniu zaoferował wybitnemu socjologowi pierwszą w Polsce Katedrę Socjologii. Tak oto zaczęła się przygoda Znanieckiego ze stolicą Wielkopolski, która to z przerwami trwać będzie do 1939 r. W 1921 roku Znaniecki założył niezależny od Uniwersytetu Instytut Socjologiczny w Poznaniu, zaś 9 lat później ukazał się pod jego redakcją pierwszy numer wychodzącego do dziś „Przeglądu Socjologicznego”.

W czasie gdy Znaniecki w Polsce budował podwaliny nowoczesnej socjologii, za oceanem rosła rzesza zwolenników jego metody, która to wkrótce stała się wiodącą wśród amerykańskich socjologów. W efekcie polski uczony był kilkakrotnie zapraszany na gościnne wykłady do USA, dzięki czemu poznańska socjologia zyskała miano najlepszego ośrodka tego typu w Europie Środkowo-Wschodniej.

Ponowny wyjazd

W lecie 1939 r. poznański profesor po raz kolejny udał się do USA z szeregiem wykładów. Chociaż sytuacja międzynarodowa była napięta, z pewnością nie spodziewał się, że nigdy już nie wróci do Polski. Wybuch II wojny światowej spowodował, że zdecydował się zostać za oceanem, zwłaszcza że USA drugi raz nie popełniło już takiego błędu jak w 1919 r. Wkrótce, gdy nad Warszawą zawisły flagi z hakenkreuzem, Znanieckiemu zaproponowano stanowisko profesora, wprawdzie w Nowym Jorku, a następnie na Uniwersytecie Illinois w Urbanie i Champaign, gdzie wykładał aż do swojej śmierci w 1958 r. Mimo pobytu w Stanach wciąż pozostawał w korespondencyjnym kontakcie ze swoimi uczniami, którzy po wojnie kontynuowali dzieło swojego mistrza.

Florian Znaniecki był wybitnym naukowcem, który zrewolucjonizował socjologię i pchnął ją na nowe tory, a jego działalność wpisuje się w najlepsze tradycje międzywojennej polskiej nauki.

Zasiłek dla bezrobotnych Kiedy, ile, na jak długo?

Agata Wolińska-Umschaden

Na wstępie tytułem przypomnienia przedstawiam przesłanki, które muszą być spełnione, aby móc ubiegać się o zasiłek dla bezrobotnych (*Arbeitslosengeld*). Otóż jedynie osoby bezrobotne, ale UWAGA! zdolne i chętne do pracy, które zarejestrują się we właściwym miejscowo urzędzie pracy (*Arbeitsmarktservice* – AMS) i są gotowe podjąć pracę także w minimalnym zakresie (*Mindestausmaß*), uzyskują prawo do wypłaty zasiłku.

Niniejsze prawo nabywają osoby, które ponadto przepracowały odpowiedni okres (podlegają obowiązkowemu ubezpieczeniu na wypadek utraty pracy). Dla osób po raz pierwszy ubiegających się o zasiłek i osób powyżej 25. roku życia okres ten wynosi minimum 52 tygodnie w ciągu ostatnich dwóch lat, a dla osób ponownie ubiegających się o zasiłek – minimum 28 tygodni w ciągu ostatniego roku. Osoby poniżej 25. roku życia stanowią wyjątek – wystarczy 26 tygodni w ciągu ostatniego roku (także przy pierwszym wniosku).

Maksymalny okres poboru świadczenia wynosi co do zasady 20 tygodni. Oczywiście w zależności od wieku i ilości okresów ubezpieczeniowych może on się wydłużać.

Zasiłek a pozostałe świadczenia

Osoby pobierające zasiłek dla bezrobotnych podlegają ubezpieczeniu zdrowotnemu. Przysługują im (oraz ich ubezpieczonym członkom rodziny) wszelkie świadczenia z tego tytułu, m.in. pomoc lekarska, zasiłek chorobowy itd.

Aby otrzymać świadczenie, osoba upoważniona winna złożyć wniosek we właściwym miejscowo oddziale urzędu pracy – czyli we właściwym miejscowo AMS-ie.

Pobór zasiłku dla bezrobotnych jest możliwy przy jednoczesnym poborze zasiłku wychowawczego (*Kinderbetreuungsgeld* – KBG), jednakże wyłącznie wówczas, gdy osoba pobierająca świadczenie wychowawcze (KBG) udowodni, iż dziecko ma zapewnioną opiekę innego członka rodziny bądź miejsce w żłobku, przedszkolu lub u opiekunki czy *Tagesmutter*.

Pobierając zasiłek dla bezrobotnych można także wykonywać pracę *na geringfügig*, czyli w minimalnym zakresie, tj. do EUR 460,66 miesięcznie (dane na rok 2020), pod warunkiem, iż AMS zostanie

o tym poinformowany i wszelkie obowiązki z tytułu zameldowania w AMS-ie będą nadal realizowane.

Warto pamiętać, iż osoby, które same wypowiedziały umowę o pracę (kolokwialnie mówiąc, same zwolniły się z pracy), są objęte 4-tygodniowym okresem blokady (*Sperrfrist*). W niniejszym okresie nie otrzymują wypłaty świadczenia.

Wysokość zasiłku

Co do zasady, wysokość zasiłku dla bezrobotnych zależy od momentu złożenia wniosku. Dla wniosków złożonych do 30 czerwca podstawę wyliczenia stanowi wynagrodzenie brutto plus wszelkie dodatki (*Sonderzahlungen*) z przedostatniego roku kalendarzowego, a dla wniosków złożonych po 30 czerwca – ostatniego roku kalendarzowego. Następnie odejmuje się składki na ubezpieczenie i podatek, czyli wylicza się kwotę wynagrodzenia netto, i z tej wysokości 55% stanowi zasiłek dla bezrobotnych. Zasiłek wyliczany jest w stawce dziennej i tak w zależności od dni kalendarzowych w danym miesiącu jego wysokość może ulegać zmianie.

Właściwy miejscowo urząd pracy

Co należy zrobić w sytuacji, kiedy AMS odmawia rejestracji z uwagi na brak właściwości miejscowej urzędu pracy? W takiej sytuacji zaleca się oczywiście niezwłoczny kontakt z profesjonalnym pełnomocnikiem, co nie jest warunkiem formalnym. Niezbędne jest natomiast złożenie wniosku o wydanie decyzji w sprawie, bowiem tylko od decyzji (*Bescheid*) można złożyć odwołania. Bardzo ważne, aby odwołanie złożone zostało w terminie, tj. w ciągu 4 tygodni od doręczenia decyzji.

W sytuacji masowej rejestracji w AMS-ie wywołanej sytuacją spowodowaną wirusem COVID-19, w przeważających przypadkach informacje otrzymywane z AMS-u okazują się bezzasadne. Brak weryfikacji indywidualnej sytuacji bezrobotnego nie daje podstawy do informacji o braku właściwości miejscowej austriackiego AMS-u. W niniejszych sytuacjach wniosek o wydanie decyzji powoduje, iż sprawa nabiera biegu i przypadek jest (dopiero!) analizowany.

Centrum interesów życiowych

Bardzo często odpowiedź odmowna wiąże się właśnie z brakiem właściwości

miejscowej austriackiego AMS-u. Oznacza to, iż AMS wskazuje polski urząd pracy (powiatowy urząd pracy) jako właściwy do rejestracji i ewentualnej wypłaty zasiłku. Otóż w takich przypadkach niezbędne jest udowodnienie centrum interesów życiowych na terenie Austrii. Wskazują na to następujące czynniki: rodzina zamieszkała w Austrii, kontakty socjalne, udowodnione wydatki na terenie Austrii, rzadkie/nierregularne wyjazdy do Polski (do rodziny), duża odległość od miejsca zamieszkania (posiadanej nieruchomości/rodziny) w Polsce, warunki mieszkaniowe na terenie Austrii. Czym więcej wskazanych powyżej czynników występujących łącznie, tym większe szanse na pozytywne rozpatrzenie sprawy.

Problem bardzo często dotyczy osób pracujących w Austrii, a posiadających rodziny w Polsce. Regularny, cotygodniowy wyjazd do Polski, tym bardziej do miejscowości oddalonej o kilka godzin jazdy od Austrii, do miejsca, w którym żyją mąż/żona i/lub dzieci (szczególnie małe), nie tylko świadczą o posiadaniu centrum interesów życiowych w Polsce i braku związku z Austrią, ale też decydują o nadaniu statusu *Grenzgänger*, czyli pracownika mieszkającego w innym państwie, a pracującego w innym, regularnie (dziennie-cotygodniowo) przekraczającego granicę. Niniejsze osoby nie mogą ubiegać się o zasiłek dla bezrobotnych na terytorium Austrii. Właściwym dla nich miejscowo jest polski powiatowy urząd pracy miejsca zamieszkania bądź aktualnego pobytu.

Zwracam również uwagę, iż AMS weryfikuje wszystkie dotychczas złożone wnioski (w przypadku ponownego ubiegania się o zasiłek). Wskazane we wnioskach dane i stan faktyczny oraz przedłożone dokumenty, choć nie dotyczą aktualnego wniosku, również brane są pod uwagę.

W przypadku pozytywnego rozpatrzenia odwołania, świadczenie wypłacane jest wstecz za należyty okres. Podjęte w międzyczasie zatrudnienie nie stanowi przeszkody w uzyskaniu wypłaty zasiłku za zaległy okres.

Ze względu na pandemię koronawirusa musimy odejść od formuły wykładu podczas organizowanych przez naszą redakcję otwartych spotkań z cyklu „Vademecum Polaka w Austrii”. W związku z tym w formie wideo zostały nagrane dwa wykłady adwokat dr Agaty Wolińskiej-Umschaden i zamieszczone na stronie www.polonika.at oraz na profilach naszego pisma w mediach społecznościowych. Wykłady te składają się z odpowiedzi na pytania nadesłane mailowo, a dotyczące wszelkich kwestii prawnych związanych z pandemią koronawirusa i nowymi przepisami wprowadzonymi przez rządy zarówno w Austrii, jak i w Polsce.

Pomogliśmy czytelnikom



Poniżej zamieszczamy odpowiedzi na niektóre pytania skierowane do polskojęzycznej adwokat, Aleksandry T. Fux, zadane w czasie jej ostatniego dyżuru telefonicznego. Był on pełen pytań dotyczących koronawirusa oraz nowych przepisów.

Aleksandra T. Fux

Pracuję jako fryzjerka. W związku z koronawirusem nasz zakład został zamknięty z dniem 16.03.2020 r. i od tej pory jestem w domu. Jeszcze w dniu 16.03.2020 r. dostałam od mojego szefa wypowiedzenie z końcem kwietnia 2020 r. Miałam jeszcze niewykorzystany urlop w wymiarze 10 dni. Teraz szef twierdzi, że tych dni mi nie wypłaci, tylko zostaną one wliczone w okres siedzenia w domu. Czy on tak może?

– Jak wszyscy wiemy, od dn. 16.03.2020 r. weszły w życie nowe przepisy, które w dużej mierze ingerują w nasze normalne życie. Należały tu ustawy oraz wiele związanym z nimi rozporządzeń, które doprowadziły do zamknięcia przedsiębiorstw usługowych, takich jak fryzjer czy kosme-

tyczka. Jednocześnie rząd austriacki wprowadził wiele zmian w dotychczasowych przepisach, jak w kodeksie prawa cywilnego (Allgemeines Bürgerliches Gesetzbuch), w którym znajdują się też przepisy dotyczące stosunków pracy. Do tej pory zmuszenie pracownika do wykorzystania urlopu bez jego zgody było niemożliwe. Niestety w związku z tymi ww. zmianami ustaw uległ też zmianie przepis par. 1155 kodeksu prawa cywilnego (ABGB), który daje teraz pracodawcy możliwość wymuszenia na pracowniku wykorzystania urlopu, nawet jeśli on się na to nie zgadza. Dotyczy to również wypracowanych nadgodzin. Ale uwaga! Tylko i wyłącznie mogą korzystać z tego te zakłady pracy, które w związku z koronawirusem zostały przymusowo zamknięte lub ich działalność uległa ograniczeniu. Nie dotyczy to natomiast zakładów, które od 15.03.2020 r. mogły nadal pracować (np. gabinety lekarskie, budowlanka, sklepy spożywcze).

We wtorek dn. 17.03.2020 r. mój mąż obchodził urodziny. W związku z tym

odwiedziła nas szwagierka z mężem oraz kolega męża. Nagle zapukała do drzwi policja i skontrolowała nas wszystkich. Zarzucono nam organizowanie i branie udziału w tzw. Koronaparty i każdy z nas dostał karę w wysokości EUR 500,00. Czy można się od tego odwołać i czy mamy możliwość wygrania?

– Od 16.03.2020 r. żyjemy w dużej niepewności, co nam wolno, a czego nie. Niestety informacje udzielane na konferencjach prasowych poszczególnych ministrów były bardzo niejasno sformułowane, co doprowadziło do tego, że większość osób było przekonanych, że wyjście z własnego mieszkania lub odwiedzenie znajomych jest zabronione. To natomiast się nie zgadza! Wystarczy przyrzeć się przepisom, któ-

re w połowie marca weszły w życie.

Ustawa dotycząca zapobiegania rozpowszechnianiu COVIDa-19 (tzw. COVID-19-Maßnahmengesetz), konkretnie par. 2, przewiduje możliwość wydania szczegółowych rozporządzeń przez poszczególnych ministrów, które mogą ograniczyć możliwość wychodzenia z domu. Na podstawie tej ustawy minister ds. zdrowia (Gesundheitsminister) wydał rozporządzenie, które z dniem 16.03.2020 r. przewidywało generalny zakaz wchodzenia na tereny publiczne. Od tego zakazu wyznaczono cztery wyjątki: można pójść do pracy, zrobić zakupy, pomóc innej osobie oraz w przypadku grożącego niebezpieczeństwa (par. 2 cyfry 1-4). Poza tym par. 2 cyfra 5 tego rozporządzenia (i to jest bardzo istotne!) przewiduje możliwość wychodzenia w celu poruszania się poza domem przy zachowaniu odstępu od innej (niemieszkającej z nami) osoby w wymiarze co najmniej jednego metra. Ściśle rzecz biorąc, można było już od połowy marca opuszczać swoje mieszkanie bez konkretnego powodu, pod warunkiem że zachowało się odstęp od obcych osób w wymiarze co najmniej jednego metra.

Należy też zauważyć, że te ustawy i rozporządzenia dotyczą tylko i wyłącznie miejsc publicznych, a nie prywatnych pomieszczeń (jak mieszkania). Aby te przepisy obejmowały też prywatne pomieszczenia (jak mieszkania), konieczna byłaby zmiana konstytucji, która chroni posiadane przez każdego z nas prawo do prywatności. A takiej zmiany nie było. To oznacza w dalszej konsekwencji, że nie egzystują żadne przepisy zabraniające spotkań w pomieszczeniach prywatnych. Wydane kary są więc bezprawne i bezpodstawne. Należy się od nich odwołać.

Co do terminów odwoła-

nia od kar lub terminów sądowych, to należy powołać się na nowe przepisy, które regulują, że wszelkie terminy sądowe lub administracyjne, które nie skończyły się do dn. 22.03.2020 r., naliczane są na nowo od dn. 1.05.2020 r. Uwaga: terminy, które naliczane są w miesiącach, zaczynają być liczone od 1.05.2020 r., natomiast terminy przewidziane w dniach, naliczane zostają od 2.05.2020 r. Przykład: kara została wyznaczona pisemnie i przysła pocztą w dn. 2.04.2020 r. Termin odwołania wynosi 14 dni. Odwołać można się więc do 15.05.2020 r. (2.05.2020 r. plus 14 dni).

Oczywiście zaznaczam, że przytaczam tu obowiązujące przepisy. Czy zrezygnowanie z obchodzenia urodzin w gronie osób niemieszkających pod jednym dachem w czasie koronawirusa jest wskazane pod względem zdrowotnym, czy nie, to każdy musi sam ocenić.

Zostałem w dn. 18.03.2020 r. zatrzymany przez policję, jadąc rowerem od mojej mieszkającej osobno przyjaciółki. Policjant zapytał się mnie o cel mojej jazdy, który mu zgodnie z prawdą wymieniałem. Niestety kilka dni później dostałem grzywnę pieniężną w wysokości

Kolejny dyżur prawny: środa, 20 maja 2020 r., od godz.17.00 do 19.00. Pod numerem tel. 01/ 205 80 90 bezpłatnych porad telefonicznych udziela polskojęzyczna adwokat mgr Aleksandra T. Fux.

EUR 1500,00 za zlekceważenie obowiązującego zakazu wychodzenia z domu. Czy jest sens odwoływania się od tej kary?

– Jak już w powyższym pytaniu wyjaśniałam, od połowy marca 2020 r. obowiązywał zakaz wychodzenia z domu. Jednocześnie przewidziane były wyjątki od tego zakazu, jak przytoczony powyżej par. 2 cyfra 5 rozporządzenia ministra ds. zdrowia (Verordnung des Bundesministers für Soziales, Gesundheit, Pflege und Konsumentenschutz gemäß § 2 Z 1 des COVID-19-Maßnahmengesetzes), który wyraźnie reguluje, że opuszczanie mieszkania samemu lub z osobą mieszkającą pod jednym dachem przy jednoczesnym zachowaniu odstępu od obcych osób w wymiarze jednego metra jest dozwolone. Niekoniecznie jest więc tłumaczenie się policji, skąd i dokąd idę lub jadę, jeśli zachowuję odstęp do innych osób (1 metr). Jeśli więc jadąc na rowerze zachował Pan odpowiedni odstęp od obcych osób, to nie działał Pan przeciwko przepisom. W tym wypadku jak najbardziej radzę odwołać się od tej decyzji.

W takich oraz podobnych przypadkach warto więc skonsultować się z prawnikiem w celu ustalenia, czy faktycznie kary zostały wydane zgodnie z literą prawa, czy jednak bezpodstawnie. Niestety w ostatnich tygodniach spotykałam się coraz częściej z błędnymi decyzjami wyznaczającymi kary z powodu nowych przepisów dotyczących koronawirusa.

Moja piękna wiedeńska pralnia

Kto nie mieszkał w Wiedniu, nie pojmie, jakie to inspirujące być użytkownikiem kolektywnej spółdzielczej pralni. Pralnia jest świetną okazją, by zaobserwować najbardziej utajone zachowania obcych, biorąc jednocześnie samemu w tym udział jako obserwator i obserwowany, i zadać sobie kilka egzystencjalnych pytań. Bo co my tak naprawdę wiemy o naszych współwiedeńczykach?



Magdalena Sekulka

Nigdy bym nie pomyślała, że będę kiedyś pisać o pralni, ważnym i jakże pomijanym w badaniach elemencie wiedeńskiej atmosfery. Do tej pory nie byłam z pralniami bezpośrednio skonfrontowana, wiedziałam, że istnieją od dziesięcioleci, czając się w gemeindowskich i spółdzielczych piwnicach, a gdy się obok nich przechodzi, dociera do nozdrzy wspaniały, świeży zapach czystości. Ten zapach zresztą zawsze już będzie mi się kojarzył z Wiedniem, podobnie jak zapach Dunaju, koni na Stephansplatz, róż w Volksgarten i pieczonych kasztanów. Tymczasem od niedawna sama mam pralnię, i to całkiem piękną. Dlatego z wdzięczności będę ją nazywać pralnią, a nie jakąś waszkuchnią, któ-

re to określenie kompletnie nie daje pola wyobraźni. Ostatecznie jednak do zajęcia się tematem głębiej zachęcił mnie koronawirus – podczas izolacji obserwowanie pralki stało się jedną z ciekawszych atrakcji codzienności, prócz dłubania w nosie i pykania z gumki na gołębie. A tu pralek pięć!

Mój nowy dom jest multikulti Wiedniem w pigułce. Trudno jednak poznać sąsiadów, bo już przed izolacją uciekali przed sobą jak przed koronawirusem, i tak zostało. Serb ucieka przed Turkiem, Turek przed Hiszpanem, Hiszpan przed Polakiem, a Austriak przed nimi wszystkimi. Przypuszczam, że chcą schronić się w pralni, ale to złudne, przed pralnią nie ma ucieczki, to miejsce dające przymusową

możliwość poznania kogoś nawet bez jego wiedzy, chęci i od razu od podszewki – dosłownie i w przenośni. I to z tej pachnącej strony (od strony kulinarnej, mniej pachnącej, niechcący znamy się z sąsiadami, mamy bowiem balkony).

Pralnia jest świetną okazją, by zaobserwować najbardziej utajone zachowania obcych, biorąc jednocześnie samemu w tym udział jako obserwator i obserwowany, i zadać sobie kilka egzystencjalnych pytań. Bo co my tak naprawdę wiemy o naszych współwiedźczykach? A tu widzę, jak piorą. A i oni widzą, jak ja piorę. Powiedz mi, jak pierzesz, a powiem Ci, skąd i kim jesteś? Czy istnieje pranie multikulti? Jeśli tak, kto, jak, co i czym pierze? I kiedy? Czy ktoś na przykład w ogóle nie pierze i mamy do czynienia ze skandalem higienicznym? A może, co gorsze (albo lepsze), ktoś pierze pieniądze, a jeśli tak to kto i jaki program jest najlepszy?

Tu muszę czytelnika rozczarować. Jak wynika z dotychczasowego śledztwa, wszyscy piorą tak samo, niezależnie od statusu społecznego, narodowości, płci, koloru skóry, orientacji seksualnej, wieku i wyznania. Wkładają pranie, wlewają płyn piorący, włączają pralkę, wyłączają pralkę, wyjmują pranie. Pranie łączy więc ponad podziałami. Pralnia to nasza kolektywna świątynia równości. Czysta metafizyka.

Nie lubię jednak za bardzo popadać w metafizykę, zwłaszcza w przypadku prania nie przystoi to jakoś, przejdę więc do racjonalnych przemyśleń i marzeń, związanych z moją piękną pralnią i sąsiadami, których tam będę miała przy-musową możliwość poznać.

Marzę o tym, by spotkać w pralni sąsiada z 4. piętra z drugiej strony windy. Nazywa się Eduardo Lopez albo chyba Enrico Gonzalez, ma na oko 28 lat i też tak wygląda. Wiem to,

bo przekazał mi kiedyś paczkę od kuriera. Od tej chwili myśl o tym, co ten Gonzalez pierze, czym to robi i jak często, spędza mi sen z powiek. Zobaczę więc, kiedy Enrico wpisał się na waszplan i przypadkowo też tam wpadnę w tym czasie, specjalnie planując pranie delikatnej koronkowej bielizny. Nie, to zbyt tandetne. Wezmę szalik kupiony swojego czasu na mistrzostwach świata w piłce nożnej, kiedy w finale kibicowałam Hiszpanii. Trochę go wcześniej pobrudzę i zarezerwuję pralkę obok. I będzie pretekst do nawiązania rozmowy, potem będziemy się umawiać na wspólne pranie, teraz przy obowiązku noszenia maseczek będzie to przyprawione dodatkowym dreszczykiem emocji, trochę jak napad na bank.

A gdyby zgubił skarpetkę, bo każdy normalny człowiek zgubił w życiu przynajmniej jedną skarpetkę w praniu, to by mi ułatwiło sprawę. Mogłabym mu ją odnieść (wiem, gdzie mieszka, bo przecież wpisał się na waszplan) i już jest pretekst do zapoznania się. Ale w Austrii jest taki ordnung, że nawet Hiszpan w kolektywnej pralni w życiu nie zgubi skarpetki, więc plan odpada. To może ja niechcący zgubię element garderoby, np mój czerwony szal, mówiąc, że to chusta pradziadka, który był torreadorem w Granadzie za czasów Franco?

Chętnie spotkam też przy-musowo w pralni sąsiada z dołu, Chińczyka, do którego pukalam już trzy razy, bo puszcza w nocy dudniącą muzykę, od której mam migrenę, i od tamtej pory ucieka przede mną jak przed koronawirusem, ale dudni dalej. Liczę na to, że schowa się w pralni, a tam go dopadnę, tam trzeba się skonfrontować z paraliżującym lękiem poznania upierdliwego sąsiada, i zobaczę, którą z pralek preferuje. A ponieważ ubiera się wyłącznie na czarno, to wleję

mu potajemnie do sitka trochę wybielacza. Albo skreślę mu nazwisko z waszplanu i ktoś zajmie mu znieczeka pralkę, i biedak będzie musiał biegać w tych samych czarnych gatkach drugi dzień. Ha! To będzie czysta zemsta!

Szczerze za to ucieszę się ze spotkania sąsiadki z 7. piętra, która zajmuje się ogródkiem przed domem, i skarżyła się ostatnio w windzie, że znowu jakiś pies jej narobił pod bzem, a to z pewnością pies tego sąsiada, co, droga sąsiadko, prał w zeszłym tygodniu jakieś dziwne rzeczy, ale ja teraz pani powiem na ucho: Ojejku! No coś podobnego, że to prał? No co pani mówi, droga sąsiadko?

Albo włączę pranie i przejdę się na spacer – zanim skończy wirować, obejdę pół Prateru, może nawet z tą sąsiadką, o ile

włączyła podobny program, a mamy już przecież temat do rozmowy – co to mogło być, co prał ten Serb z 6. piętra? Nie. Najlepiej będzie, gdy usiądę przed wirującym bęb-nem, co uwielbiałam robić od dziecka, zanim jeszcze psychologowie nazwali to uważnością, i napiszę wiersz.

*Kochajmy nasze wiedeńskie pralnie.
Tam kręci się życie, gdy
wszystko zdalnie.
Dziękuję za czas na przeczytanie,
Kończę, bo czas już wyjąć pranie.*

PS. Mam też bardzo inspirującą piwnicę, o tym w którymś z kolejnych tekstów.

Ach, ten pełen wszelkich inspiracji Wiedeń.

Mój nowy dom jest multikulti Wiedniem w pigułce. Trudno jednak poznać sąsiadów, bo już przed izolacją uciekali przed sobą jak przed koronawirusem, i tak zostało. Serb ucieka przed Turkiem, Turek przed Hiszpanem, Hiszpan przed Polakiem, a Austriak przed nimi wszystkimi. Przypuszczam, że chcą schronić się w pralni, ale to złudne – przed pralnią nie ma ucieczki.

Fot. Willi Heidebach/Polonika



Publikacje pisma „Polonika”



Polonika

Danke! Zusammen durch die Corona-Krise.

Über 60.000 Mitarbeiterinnen und Mitarbeiter der Stadt Wien sorgen dafür, dass sich die Wiener Bevölkerung in dieser Ausnahmesituation auf die Leistungen der Stadtverwaltung verlassen kann. Die Infrastruktur funktioniert, weil in vielen Bereichen Übermenschliches geleistet wird. Gemeinsam werden wir unser Ziel erreichen, niemanden in dieser Krise zurückzulassen. Dafür danken wir jeder und jedem Einzelnen von Ihnen. Unterstützen Sie auch weiterhin die Menschen in dieser Stadt, an die wir wiederum appellieren, ihren Beitrag zu leisten und nur dann ihr Zuhause zu verlassen, wenn es wirklich notwendig ist. Infos, um Ihre Gesundheit und die Gesundheit anderer zu schützen, finden Sie unter wien.gv.at/coronavirus.

Ihre Wiener Stadtregierung

